PRZYGODY
KS. MARCINA LUBOMIRSKIEGO.

Według autentycznych źródeł

opowiedział

Władysław Chomętowski.

(*Ciąg dalszy*).

XIX.

Dwór ks. Radziwiłła w Eperies, skoro przyjechał do Siedmiogrodu, składał się z początku tylko z kilku osób, które jak Jan Hryniewicki, towarzyszyły mu wszędzie od dnia jego wydalenia się z Polski, ale skoro wieść doszła do kraju o miejscu jego pobytu, w przeciągu dwóch miesięcy orszak jego powiększył się znacznie, przyjaciele bowiem księcia, zgłaszali się od czasu do czasu z ofiarowaniem mu swych usług. Nadjechał też kapelan Radziwiłła z Nieświeża, a za nim wkrótce siostra księcia, pani Morawska, bohaterka z pod Słonima, co ofiarowała swą rękę prostemu szlachcicowi, który potykał się mężnie przy jéj boku. Skoro dowiedział się ks. Karol, o niestosownem zamęźciu siostry, nie posiadał się z gniewu, odgrażał się, że zabije szlach-



Ks. Marcin wziął za rękę pannę i ukląkł przed rodzicami. (Str. 150).

cica, który nieznany z rodu, ani też z zasług, podniósł swe oczy tak wysoko i ożenieniem z Radziwiłłówną. skaził świetność rodową tego domu. Pisał w tym celu do siostry, wyrzucał jéj płochość i zaklinał, ażeby postarała się o rozwód i inny godniejszy jéj urodzenia zawarła związek, ale rozkochana pani, nie zważała na pogróżki brata, zamiast odpowiedzi listownéj, stawiła się przed nim osobiście i bez długiego trudu, rozbroiła gniew jego.

Radziwiłł znajdował się sam na sam z siostrą, kiedy przybył do Eperies i stanął przed jego domem ks. Marcin Lubomirski, w towarzystwie Jana Hryniewickiego, dwóch paziów węgierskich i jednego hajduka.

Znaną jest z wielu portretów i opisów, marsowa i pełna wyrazu postać Radziwiłła „*panie kochanku*,“ siedząca obok niego pani Morawska, była to młoda i piękna kobieta o czarnych oczach. z wyrazem męzkiéj odwagi i siły. Kiedy wszedł niespodziewanie ks. Marcin wraz z dworzaninem Janem Hryniewickim, ks. Karol zerwał się z krzesła, a poznając dawnego znajomego, powitał go wymownem uściśnieniem dłoni i zawołał: „To mi gość pożądany, *panie kochanku!*“.... poczém przypatrując się uważnie twarzy ks. Marcina, dodał: pobladłeś mi, ale wypiękniałeś od czasu, w którym po raz ostatni widziałem cię w Nieświeżu. Zwrócił się następnie do swéj siostry i rzekł biorąc za rękę Marcina.

— Rekomenduję WPani siostrze dawnego przyjaciela i koligata mego ks. Marcina Lubomirskiego, o którego przygodach opowiadałem ci już nieraz, a którego poznać byłaś rada.

Pani Morawska skinieniem głowy i miłym uśmiechem odpowiedziała na głęboki ukłon Marcina.

— Gracko popisałeś się *panie kochanku!* rzekł znów Radziwiłł, zwracając się do Jana Hryniewickiego, że tak miłego sprowadziłeś nam gościa, z którym pogwarzyć będziemy mogli o dawnych czasach i wypadkach. Wprawdzie, rzekł po chwili do Marcina: W. Ks. M., byłeś tylko raz gościem w naszych stronach, ale pewno nie zapomniałeś o nich *panie kochanku*, bo rozprawiłeś się dzielnie z panem Jundziłłem, który jakkolwiek był moim przyjacielem, powiem szczerze, że otrzymał, na co zasłużył, kiedy śmiał dotykać honoru W. Ks. M., a powtóre, w domu wojewodziny Połockiéj odznaczyłeś się w szrankach kupidyna, który to bożek widocznie pożyczył W. Ks. M. swych skrzydeł, do porwania i uprowadzenia panny z fraucymeru. To powiedziawszy, rozśmiał się głośno Radziwiłł, ale widząc pomieszanie na twarzy Marcina, któremu nie było wcale miłe wspomnienie tych wypadków, skierował do innego przedmiotu rozmowę i rzekł:

— Sześć lat minęło od czasu, w którym pożegnałem się z W. Ks. M. w Nieświeżu, ale ile to zaszło odmian *panie kochanku*, a tak wielka moc wypadków, że na wołowéj skórze by nie spisał. Wiesz już W. Ks. M. zapewne, jak ciężką miałem przeprawę, najprzód z Massalskiemi, potem podczas konwokacyjnego sejmu w Warszawie, na którym *unicam pupillam libertatis*, *liberum veto* skassowano, władzę hetmańską poniżono i tym podobne inne ogłoszono bezprawia, w czem największy udział wzięła *familja*.

— Wiem o tém wszystkiém, jakotéż o przygodach W. Ks. Mości i ubolewałem nad tém srodze, że nie oceniono wysokich jego zasług w Rzeczypospolitéj.

— Dzieło w tém wszystkiém jest wrogów moich, *panie kochanku*, jak sól gryzło ich woczy, że jeden Radziwiłł odważył się stawić im czoło i niejednokrotnie wytoczył im bitwę, jak pod Słonimem, gdzie siostry walczyły przy moim boku, a ta JPani Morawska biła się zapalczywie jak lwica, któréj nieprzyjaciele łowcy chcą uprowadzić pisklęta.

— Siostra W. Ks. M. jest godną córą dawnych bohatérów; imiona dwóch siostr W. Ks. M., głośne są w całéj dziś Europie, a obok Karola Radziwiłła, jak obok swego słońca, reprezentowane są dwie gwiazdy: Teofila i Weronika.

— Widzę, że ks. Marcin sprawdza powszechny o nim rozgłos, jako jest wielce uprzejmym dla dam kawalerem, bo prawi komplementa, których zupełnie nie czuję się być godną, rzekła powstając pani Morawska, poczém zbliżyła się do młodego gościa i dodała z uśmiechem:

— Musisz W. Ks. M. dać mi dowody, że równie jesteś grzeczny w czynach, jak w słowach i towarzyszyć nam dziś na wieczornéj zabawie w domu hr. Betlema.

Tak zagadniony książe Marcin, odpowiedział z ukłonem:

— Miło mi będzie dać tak łatwy dowód posłuszeństwa rozkazom damy, któréj przymioty uwielbiałem pierwéj, nim ją osobiście poznałem. Wierzaj mi pani, że słowa moje nie są czczym komplementem, ale istotnym wyrazem mych uczuć.

— Wyznam ci szczerze książe, że słysząc wiele o twéj nadzwyczajnéj miłości dla panny Hadik, nie sądziłam, ażebyś i dla dam innych, okazywał tyle grzeczności, bo zakochani najczęściéj stanowią świat oddzielny i obcych unikają wpływów. Ale bardzo się cieszę, że W. Ks. M. nie masz nic wspólnego z odludkami temi i że w towarzystwach węgierskich, znajdę choć jednego rodaka, który godnie przedstawi swą nację.

— Wszak słyszałem, że wielu polaków znajduje się w Eperies, nawet w orszaku ks. Radziwiłła, liczą ich kilkunastu.

— Cóż znaczy ta liczba, mój Boże! rzekła z westchnieniem pani Morawska, poczém wskazując nieznacznie na Hryniewickiego, dodała półgłosem: powiedz W. K. M. szczerze,

jakie z podobnych egzemplarzy, mogą powziąść wyobrażenie o nas cudzoziemcy?

Rozmowę ks. Marcina z panią Morawską, przerwał głos ks. Radziwiłła, który zwrócił uwagę na Jana Hryniewickiego, oczekującego w kącie komnaty, na jego rozkazy, a widząc na twarzy swego dworzanina smutek, rzekł, klepiąc go po ramieniu:

— Jak widzę, posmutniałeś mi *panie kochanku*, lepiéj pono w naszym Nieświeżu niż tutaj?

— Pewnie że lepiéj, J. O. Książe dobr., tam każdy każdemu bratem, a wszyscy w osobie W. Ks. Mości, uznają jedynego ojca i pana, tu zaś, choć częste bywają reduty i bale i choć ładne na nich uwijają się węgierki, nie ma téj uciechy i zabawy, jako w Nieświeżu; kiedy W. Ks. M. pan miłościwy, z okazji jakiéj uroczystości, raczy zaprosić gości, toć wtedy ludno i wesoło, a jest czemu się przypatrzyć i co podziwiać, kiedy od największego potentata, do najmizerniejszego człeka, każdy pożywi się hojnie u stołu pańskiego....

— Gościnny i tutaj jest naród, ale hardy *panie kochanku*, magnat węgierski pogardza plebejuszem; nie widziałem dotąd żadnéj uroczystości, na któréjby bogacz chciał usłużyć biednemu i podzielić się z nim chlebem, jak Pan Bóg przykazał. Pokażę też węgrom, jaka gościnność jest u nas w zwyczaju, a nastręcza mi się sposobność, z okazji małżeństwa oficera mego JPana Zabiełło, z panną węgierką córką Boremiszy....

— Jakto? odezwał się ks. Marcin, córka Boremiszy wstępuje tak prędko w związki małżeńskie z oficerem W. Ks. Mości? Przed kilku tygodniami, widziałem tego Boremiszę w Budzie, prosił mię o instancję do W. Ks. Mości.

— Otóż mówię W. Ks. M., że ten sam Boremisza, przed miesiącem przyjechał tutaj i prosił o pożyczenie pieniędzy, to jest o tysiąc reńskich, dałem mu dwa tysiące, *panie kochanku*, bo nieborak w bardzo mizernym znajduje się stanie, a ma córkę, prześliczną pannę, która tak wpadła panu Zabielle w oko, że ledwie nie umarł z desperacji, kiedy mu przekładałem po ojcowsku, ażeby zaniechał amorów z węgierką, a ożenił się z litwinką, jak powrócimy do Nieświeża. Owóż widząc, jak gorącym pała sentymentem dla téj panny, zgodziłem się w końcu na ożenienie, a nawet sute wkrótce wyprawię im wesele, na które W. Ks. M. zapraszam.

To powiedziawszy, zaczął się śmiać głośno poczem rzekł, zwracając się do Hryniewickiego:

— Czy też WPan także nie dałeś się ułowić jakiéj węgierce i dla tego tak jesteś smutny i zamyślony?

— Nie, inna przyczyna smutku mego, J. O. Książe dobr., jeno ta, że tęschnię po Nieświeżu i myślę też często, że W. Ks. M. równie smutny być musi bez Nieświeżskiego dworu i jego zwierzyńca?

— Zgadłeś *panie kochanku*, wcale nie wesoło mi w tym kraju, choć grzeczni są tutejsi panowie i zabawiają mię jak mogą, ale nie dla mnie taka uciecha, nie rozumiem nawet ich mowy i nie mogę wymienić jednego słowa z niemi bez tłumacza. Ale taka jest wola Najwyższego Boga i nie prędko podobno zobaczę się z moim Nieświeżem, a jeżeli kiedy powrócę, wielką zastanę tam ruinę.

— Nie wątpię, odrzekł ks. Marcin, że rząd Rzeczypospolitéj nie zaniedba wkrótce wymierzyć sprawiedliwości W. K. Mości i przywoła go do kraju.

— Sprawiedliwość, to wielkie słowo, wykręcają je dziś po swojemu, *panie kochanku*.

Na téj odpowiedzi zakończyła się rozmowa, bo znużony podróżą gość Radziwiłła, udał się na spoczynek do swego mieszkania, miał bowiem tego jeszcze wieczora, towarzyszyć pani Morawskiéj na zabawę do domu hr. Betlema, który sutą wyprawiał ucztę na cześć ks. Karola Radziwiłła.

XX.

Ks. Marcin mieszkał od miesiąca Maja w Hermansztadzie; młodzi kochankowie w upojeniu radości oczekiwali dnia ślubu, który z powodu pomyślnych wiadomości, otrzymanych z Polski, miał nastąpić wkrótce. Ks. Franciszek Lubomirski napisał do synowca list bardzo czuły, w którym tłomaczy się ze swych czynności, narzeka na złą administrację majątków, będących dziedzictwem Marcina, wzywa go, ażeby objął je jaknajprędzéj, przyczem posyła znaczną kwotę pieniężną, na opłacenie długów w Węgrzech, jako też na koszta ślubu i podróży. Stosownie do żądania Marcina, stryj przysłał po niego dwie wspaniałe karety, dwóch kamerdynerów i czterech hajduków. Piękna uprząż i bogata liberja ks. Lubomirskich, najwięcéj uradowała panią Hadik, któréj duma macierzyńska, poniżona była od pewnego czasu z powodu rozgłaszanych na Węgrzech wieści, o złym stanie interesów Marcina, o upadku majątku i bliskiem bankructwie. Ks. Marcin miłą sprawił niespodziankę ojcu i bratu starszemu żony, Franciszkowi, kazał bowiem przyprowadzić do Hermansztadu, dwa najpiękniejsze z ukraińskiego stada konie, które przeznaczył dla nich w upominku.

Dwór księcia, przybył do Hermansztadu w pierwszych dniach miesiąca Czerwca, na czele tegoż, nadjechał dawny przyjaciel i sługa starego Miecznika, Siemoński, niegdyś chorąży, teraz porucznik chorągwi pancernéj, ten sam, który był wykonawcą surowego wyroku ojca, względem nieszczęśliwego syna. Pomimo smutnych wspomnień tylu lat niedoli, które widok Siemońskiego wywołał w umyśle Marcina, powitał go jednak serdecznie, a zamkną

wszy się z nim sam na sam w komnacie, rozmawiał bardzo długo o stosunkach rodzinnych i majątkowych, nakoniec o położeniu rzeczypospolitéj, w któréj burzliwém łonie, ważne przygotowywały się odmiany, ścieranie się zaś stronnictw i ich częste bójki, były wstępem do obszerniejszéj i zawziętszéj walki, która swym płomieniem miała objąć wkrótce kraj cały. Tak niepomyślne wiadomości, zaniepokoiły ks. Marcina; złamany przeciwnościami losu, młodzieniec spodziewał się znaleźć spokój i szczęście w domowém pożyciu z osobą, któréj miłość otworzyła mu drzwi więzienia i natchnęła go nadzieją i wiarą w przyszłość, ale powziąwszy dokładne wyobrażenie z opowiadań Siemońskiego o stanie kraju, nie łudził się bynajmniéj, aby mógł pozostać bezczynnym widzem w kole wypadków, które dotykały bezpośrednio każdego obywatela rzeczypospolitéj. Po długiéj rozmowie z Siemońskim, wyszedł ks. Marcin do ogrodu, gdzie spodziewał się spotkać Annę, była to bowiem godzina wieczorna, przed zachodem słońca, w któréj młodzi narzeczeni, używali zazwyczaj rozkoszy przechadzki, a pod wpływem zapachu kwiatów i ożywczego powietrza, otwierali przed sobą wzajemnie skarby swych myśli i uczuć.

Cienisty szpaler ogrodu, który przebiegał szybko Marcin, dotykał jednym końcem sadzawki, rumieniącéj się w téj chwili w blasku zachodzącego słońca. Pomiędzy aleją a sadzawką, stała altana na dość wysokim wzgórku; piękna kobieta w białéj sukni, przepasana niebieską wstęgą, wybiegła ztąd naprzeciwko księcia, który z rozpłomienioną twarzą, pochwycił jéj dłoń białą i do ust przycisnął.

— Nie widziałem cię od rana Anno, przyjazd Siemońskiego, był tego przyczyną; po tak długiéj niebytności w rodzinnym kraju, dawałem mu wiele zapytań względem położenia rzeczypospolitéj i interesów mego majątku, rozmowa nasza mogła była przeciągnąć się do jutra, gdybym nie miał ciągle na myśli ciebie *adorable Annette*, z którą jutro ślubnym mam połączyć się pierścieniem, a która będzie mem jedynem dobrem i jedyną miłością na ziemi....

— Obyś tylko zawsze tak kochał Annę, jak ona cię kocha i uwielbia Marcinie! rzekła drżącym głosem narzeczona, spuszczając smutnie głowę.

— Widzę, że powątpiewasz o mojéj miłości.... Anno, tak się nie godzi, czy dałem jaki powód do téj nieufności?....

— Nie, żadnego nie dałeś powodu książe, wierzę ci, wierzę twojéj przysiędze.... ale daruj mi, lub nazwij to uczucie słabością kobiecego serca, kiedy wyznam ci szczerze, że w miarę, jak zbliża się dla mnie dawno upragniona chwila, obawiam się, że mogę utracić szczęście, które tak drogim mi jest skarbem.

— *Adorable Comtesse*, to są czcze marzenia, śmierć tylko jedna, może nam wydrzeć to szczęście, ale powiedz mi drogi aniele, czemu w wigilję ślubu, mamy przypuszczać podobne myśli do głowy? Jutro jest dzień naszego połączenia; ten dzień dla mnie jest wstępem do tego raju, który mi się uśmiecha przez twoje usta *incomparable*, *adorable comtesse*. Nazajutrz po ślubie, pojedziemy do Drezna, dokąd ks. Karol Radziwiłł, ważne mi daje zlecenia, a muszę mu wyświadczyć tę posługę, za łaskawą protekcję, któréj nie odmówił w méj sprawie.

— Słyszałam, że ks. Radziwiłł tu przyjedzie i będzie się znajdować na naszém weselu?

— Kiedy przed miesiącem, rozstawałem się z nim w Eperies, przyrzekł mi najuroczyściéj, że podąży do Hermansztadu, skoro mu doniesę o dniu zaślubin; otóż spodziewam się, że wkrótce ujrzemy go w naszém gronie.

— Rada jestem niezmiernie, poznać tego polskiego księcia, słyszałam tak dużo nadzwyczajnych powieści o jego bogactwach i hojności, mianowicie o téj uczcie w Eperies, którą wydawał z okazji małżeństwa jednego ze swych oficerów z córką Boremiszy, mówili, że sprosił mnóstwo biedaków do biesiadnego stołu, z wielkiém zgorszeniem panów węgierskich, którym się nie podobało, że gospodarz żadnéj nie czynił dystynkcji i jednakowe w domu swoim tak możnym, jako téż biednym czynił honory.

— Tak było w istocie; odrzekł z uśmiechem Marcin, Karol Radziwiłł jest patryarchą w swoim Nieświeżu, nietylko najbiedniejszy szlachcic, ale i mieszczanin, jest równie pożądanym gościem w jego domu; mieszkając dość długi przeciąg czasu w Węgrzech, poznał dumę tutejszych panów, a że rad jest przy wydarzonéj sposobności okazać swą popularność, która rozgłosiła jego imię więc skorzystał z okazji ślubu swego oficera i sprawił niespodziankę magnatom; spotkali się w jego komnatach z różnorodnym tłumem gości, których książe umyślnie za pośrednictwem swych dworzan, zaprosił na ucztę.

— Słyszałam, że ten wasz książe, jakkolwiek jest często śmieszny i rubaszny w obejściu, wielkie ma poważanie nietylko u swoich, ale téż i u postronnych i że nawet cesarzowa i królowa nasza, wnosi za nim instancję do króla polskiego?

— Tak jest, bo Karol Radziwiłł, nie bacząc na jego rubaszność, wpływ ma ogromny pomiędzy szlachtą i mieszczaństwem. Cieszę się, że mogę mu wyrządzić teraz przysługę, spełniając jego polecenia w Europejskich stolicach, które odwiedzę z moją ukochaną małżonką....

— Co do mnie, nie pragnę widzieć Drezna, ani Paryża, zgodziłabym się chętnie na podróż do Polski, bez wstępowania do tych stolic, nie wątpię bowiem, że tęschnisz kochany Marcinie, do rodzinnego kraju, którego nie widziałeś przez tak długi przeciąg czasu.

— Sześć lat już upływa od czasu mego wyjazdu, a wielkie i ważne tam zaszły odmiany.

Zgadłaś *adorable comtesse*, że tęschnię do kraju, który mi jest drogim wielce, jakkolwiek ciężkie przebyłem w nim koleje. Wiem, że czekają mię tam trudy, a może nawet walka, w któréj udział jako obywatel, prędzéj czy późniéj, przyjąć muszę....

— Walka! powtórzyła z niespokojnością Anna, o jakiéj walce mówisz, kochany książe? o ile mogę wnosić z opowiadań mego ojca, kraj wasz jest teraz spokojny, o żadnéj nie słychać tam wojnie.

— Przypuszczam tylko, bo nic dotąd jeszcze nie ma pewnego; nie trwoż się *mon cher ange!* Interesa moje własne i ks. Karola Radziwiłła wymagają, ażebym odwiedził teraz Drezno i Paryż, pierwsze więc miesiące po ślubie, spędziemy w podróży i w tych stolicach, a przed zimą, przyjedziemy do Polski, gdzie zamek w Połonnéj, gotów już jest na przyjęcie nowéj pani.

— Wierzaj mi Marcinie, że gorąco pragnę poznać twą Polskę, bo ten kraj, odkąd cię pokochałam, stał się dla mnie drugim rodzinnym krajem; modlę się do Boga, ażeby zlał na twą ojczyznę, jak na twą głowę, wszystkie łaski i błogosławieństwa....

Wymawiając ostatnie wyrazy Anna, patrzała czule wielkiemi błękitnemi oczami na piękne wyraziste oblicze Marcina i położyła rękę na jego ramieniu. W téj chwili wschodzący księżyc, wychylił się z za drzew wierzchołków i oblał ich strumieniem swego światła. Twarz Anny, pokryła się żywym rumieńcem, jéj oczy zwilżone były łzami; lice Marcina było blade, ale czarne oko świeciło iskrą zapału, skoro poczuł dłoń jéj na swém ramieniu, padł przed nią na kolana i zawołał:

— *Je suis votre esclave pour toujours, adorable Comtesse!*



Gdybym nie miał na myśli losu tego jedynego dziecięcia, wyzwałbym Schönborna na pojedynek i pomścił się za obelgę, lub zginął, ocalając mój honor. (Str. 135).

XXI.

W dniu ślubu Anny Hadik z Marcinem Lubomirskim, 5go Czerwca 1765 r., zjechali się z Budy i Eperies goście do Hermansztadu, w gronie ich, znajdował się Karol Radziwiłł, pomiędzy krajowcami, było wielu panów i wyższych oficerów węgierskich: hrabia Betlem, Antoni baron de Berlendis, hrabiowie de la Motte, hrabia Monjugo, zrujnowany magnat węgierski, dawny przyjaciel rodziny Hadików; feldmarszałek przedstawił go zięciowi, jako wysoko utalentowanego człowieka, który straciwszy znaczny majątek, radby pozyskać łaskawe względy panów polskich i chętnie poświęciłby się na ich i rzeczypospolitéj usługi. Ks. Marcin, przyrzekł hr. Monjugo, że pomyśli o jego losie, skoro przyjedzie do Polski, zarekomendował go ks. Radziwiłłowi, który również nie odmawiał mu swéj protekcji.

Piękna narzeczona, o godzinie 11éj przed południem, skończyła już swe przygotowania do ślubu, odprawiła fryzjera i panny służące i została sam na sam z siostrą Franciszką, oczekując na matkę, która miała nadejść wkrótce i wprowadzić ją do sali, gdzie zgromadził się orszak ślubny.

Obie siostry w białych były sukniach, Anna miała we włosach złoty djadem wysadzany pysznemi turkusami; dar to był cesarzowéj Marji Teressy, która go przysłała, dowiedziawszy się o zamęźciu starszéj córki jéj ulubieńca hr. Hadika. Franciszka z miłym uśmiechem spoglądała na cudnie piękną w tym ślubnym stroju siostrę, jéj czarne oczy jaśniały urokiem niewypowiedzianéj radości, kochając z całego serca Annę, przywiązała się do jéj narzeczonego, widziała w nim wszystkie przymioty, które zdały się być rękojmią przyszłego szczęścia siostry. Anna zazwyczaj wesoła i żywa, była w téj chwili poważna zadumą i rzewną tęschnotą, która ocieniała jéj rysy i miarkowała ruchliwy zazwyczaj wyraz jéj twarzy i oczów.

— Anetko, kochanie moje, czemu tak jesteś dziś poważna i zamyślona? wszyscy cieszemy się z twego zamęźcia, matka nasza powiada, że ks. Marcin wielką ma przed sobą przyszłość, znajomi nasi zazdroszczą nam tego szczęścia. Anetko, tak jesteś piękna w téj chwili, nie dziwię się wcale, że ten książe kocha cię tak czule, bo i ja, gdybym nie była twą siostrą a mężczyzną, oszalałabym dla ciebie z miłości. To powiedziawszy, rzuciła się na szyję siostrze i obsypała ją pocałunkami.

— Prześladujecie mię wszyscy, że jestem zamyślona, mój Boże! jakże być może inaczéj? Kocham, uwielbiam Marcina, ale téż dla tego drżę nad jego przyszłością.... on sam mi powiadał wczoraj, że w Polsce ważne gotują się odmiany, że jest wiele nieprzyjaznych partji, które wichrzą spokojność tego kraju, a prędzéj czy późniéj, mogą powszechną wywołać walkę.

— Czemu już przewidujesz niebezpieczeństwa, droga siostro? wszak ja także pojadę z wami, bo chcę się nacieszyć widokiem twojego szczęścia, a tak nie obawiam się niczego, że nigdy nie czułam się równie jak dzisiaj swobodną i wesołą.

Kiedy serdecznėm uściśnieniem kończyły rozmowę siostry, weszła pani Hadik z rozpromienioną twarzą, Anna rzuciła się w objęcia matki, która całowała ją i błogosławiła ze łzami w oczach, poczém oznajmiła, że wszystko przygotowane już do ślubu i że cały orszak godowy, oczekuje tylko na przybycie panny młodéj. Matka z jednéj, siostra z drugiéj strony, wzięły pod rękę narzeczoną i wprowadziły do obszernéj błękitnéj sali. Ks. Marcin wziął za rękę pannę i wraz z nią uklęknął przed rodzicami, którzy błogosławili córkę i zięcia; skoro powstali, siostra i bracia narzeczonéj, składali jéj powinszowania i uściskali ją serdecznie, starszy brat Franciszek wystąpił z kmplementem do przyszłego szwagra, który nawzajem odpowiedział mu krótko i ucałował braci swéj żony. Wielu z obecnych, zabierało się do wystąpienia z oracjami, prozą i wierszem, do państwa młodych, ale uprzedził wszystkich Karol Radziwiłł, ktory skinął na swego tłumacza, a zbliżywszy się do panny młodéj, przemówił do niéj w te słowa:

— Jest to zdanie wypróbowane z dawna, że niedoścignione *fata*, niechcącego często w tę stronę ciągną, w któréj ma znaleźć cel upodobania swego. Któżby powiedział przed laty kilku, że ks. Marcin Lubomirski, syn Miecznika W. Kgo, zasłużonego w rzeczypospolitéj polskiéj potentata, znajdzie dozgonną przyjaciółkę, w obcym kraju, w osobie Wacpanny, w chwili właśnie, kiedy doświadczał srogości zmiennéj fortuny. Nie jest wprawdzie żaden król tak potężny, bohater tak dzielny, ani filozof tak mądry, ażeby się mógł oprzeć sile przywiązania; którego munsztuk okiełza najniesforniejsze stworzenie, taki to łańcuch przykuł kolligata mego, ks. Marcina, do boku WPanny, a zacny ten kawaler z urodzenia i talentów, godzien jest ręki najprzedniejszéj damy na świecie. Nie potrzebuję wyliczać splendorów dwóch wielkich imion, które pod szczęśliwą gwiazdą dnia dzisiejszego łączą się w osobach WPanny i kolligata mego; jak sława domu Lubomirskich w Polsce, tak Hadików i Lichnowskich, głośna jest w państwach Jéj Ces. Król. Apostolskiéj Mości, to téż latorośl tak zacna, na równie urodzajnym przesadzona będzie gruncie. Cieszę sie mocno, że doświadczając gościnnego przyjęcia w tym kraju, przytomny jestem aktowi, który dla rodaka i kolligata mego, jest zadatkiem przyszłego szczęścia, cieszę się, że ks. Marcin Lubomirski, doświadczywszy za młodu tylu przeciwności losu, wywozi ztąd tak drogocenny upominek w osobie Wacpanny, któréj cnota równa się urodzie, a uroda cnocie. a ktoréj niespolite *merita*, głośne są w całych Węgrzech."

Przemowa ks. Radziwiłła, powtórzona przez tłumacza, ogólne wywołała zadowolenie; następnie przyjaciele domu Hadików, składali powinszowania nowożeńcom prozą i wierszem; tym podobne oracje, przeciągnęłyby się bardzo długo z wielkiém bezwątpienia utrapieniem państwa młodych, gdyby ojciec hr. Hadik, nie uwolnił ich od tego, oznajmując, że czas wyruszyć do kościoła, gdzie zamówiony kapłan, czeka już w zakrystji.

Długi szereg powozów godowego orszaku, zapełnił całą ulicę, a widok bogatych i pięknych nowożeńców, ściągnął liczne tłumy w mury starożytnego kościoła, w którym przy towarzyszeniu organów, odbył się ślub ks. Marcina; z polaków, oprócz ks. Karola Radziwiłła, przytomni byli temu obrzędowi porucznik Siemoński i Jan Hryniewicki, który ani na chwilę nie odstępował swego pryncypała. Skoro ślub się ukończył, a państwo młodzi i goście powsiadali do powozów; ks Radziwiłł rzekł z uśmiechem do towarzyszącego mu Hryniewickiego:

— Kiedy patrzę na ten tłum ludzi, którzy z taką ciekawością przypatrują się naszym polskim strojom i czuprynom, żałuję mocno

panie kochanku, że nie kazałem sprowadzić z Nieświeża do Hermansztadu, mego niedźwiedziego cugu, wraz z jego woźnicą niedźwiedziem, byłaby to wielka uciecha dla tutejszego ludu. (1)

— Ale pono i nieświeżskim niedźwiedziom nie przypadłaby do smaku ta peregrynacja, odparł smutnie Jan Hryniewicki, boć i nam sługom W. Ks. Mości, znudziły się już tutejsze zabawy i tęschniemy mocno za powrotem do domu.

— A to mi gracz z ciebie *panie kochanku*! zawołał książe, zanosząc się od śmiechu, skoro ręczysz tak śmiało za niedźwiedzia, że równie jak WPan sprzykrzyłby sobie pobyt za granicą kraju; ale zważ dobrze, że wcale inne jest położenie WPana, niż mego stangreta niedźwiedzia, bo kiedy prócz polskiéj mowy, nie znasz żadnego innego języka, on przecie miał guwernerów francuza i włocha i cudzoziemskie djalekta wcale mu nie są obce.

— Żartuje W. Ks. Mość z biednego sługi, a wiem dobrze, że i W. Ks. Mości sprzykrzyła się już ta nasza tułaczka.

— Dla téjże saméj racji *panie kochanku!* zawołał książe, wybuchnąwszy powtórnie śmiechem, poczem dodał: nie znam dobrze ich cudzoziemskiéj mowy, więc przykro mi, że nie mogę postąpić kroku bez tłumacza, jak kulawy bez kuli, lub ślepy bez przewodnika. Ale mam dziś radosną WPanu oznajmić nowinę; odebrałem z poczty listy z Wiednia, w których mi czynią otuchę prędkiego powrotu do kraju, bo dwór wiedeński nastaje mocno u króla Poniatowskiego i jego partji, aby mi powrócono honor, godności i urzęda...

— Daj Boże! by to było prawdą i ażebyśmy jak najprędzéj wrócili do naszego Nieświeża! zawołał Jan Hryniewicki z wyrazem niewymownéj radości.

Powóz zatrzymał się przed domem hr. Hadików; Jan wyskoczył prędko z karety i podał rękę księciu, który w towarzystwie gospodarza domu i jego żony wszedł do obszernéj jadalnéj komnaty, gdzie suto zastawione już były stoły, na około których uwijała się służba w liberyi Hadików. Uczta przeciągnęła się do późnéj nocy; reprezentanci trzech narodowości, polacy, węgrzy i niemcy, zgromadzeni około jednego stołu, zabawiali się wesoło i zarówno ochoczo, ogromne spełniając puhary. Po skończonéj biesiadzie, rozpoczęły się wesołe pląsy, którym przygrywałs muzyka wojskowa; następnej téż nocy powtórzyła się ochocza zabawa, dopiero na trzeci dzień po ślubie, państwo młodzi opatrzeni błogosławieństwem rodziców, wyruszyli w podróż; panna Franciszka Hadik towarzyszyła swéj siostrze, z którą miała odwiedzić Drezno i Paryż; następnie zamieszkać w Połonnej, aż do czasu przyjazdu matki.

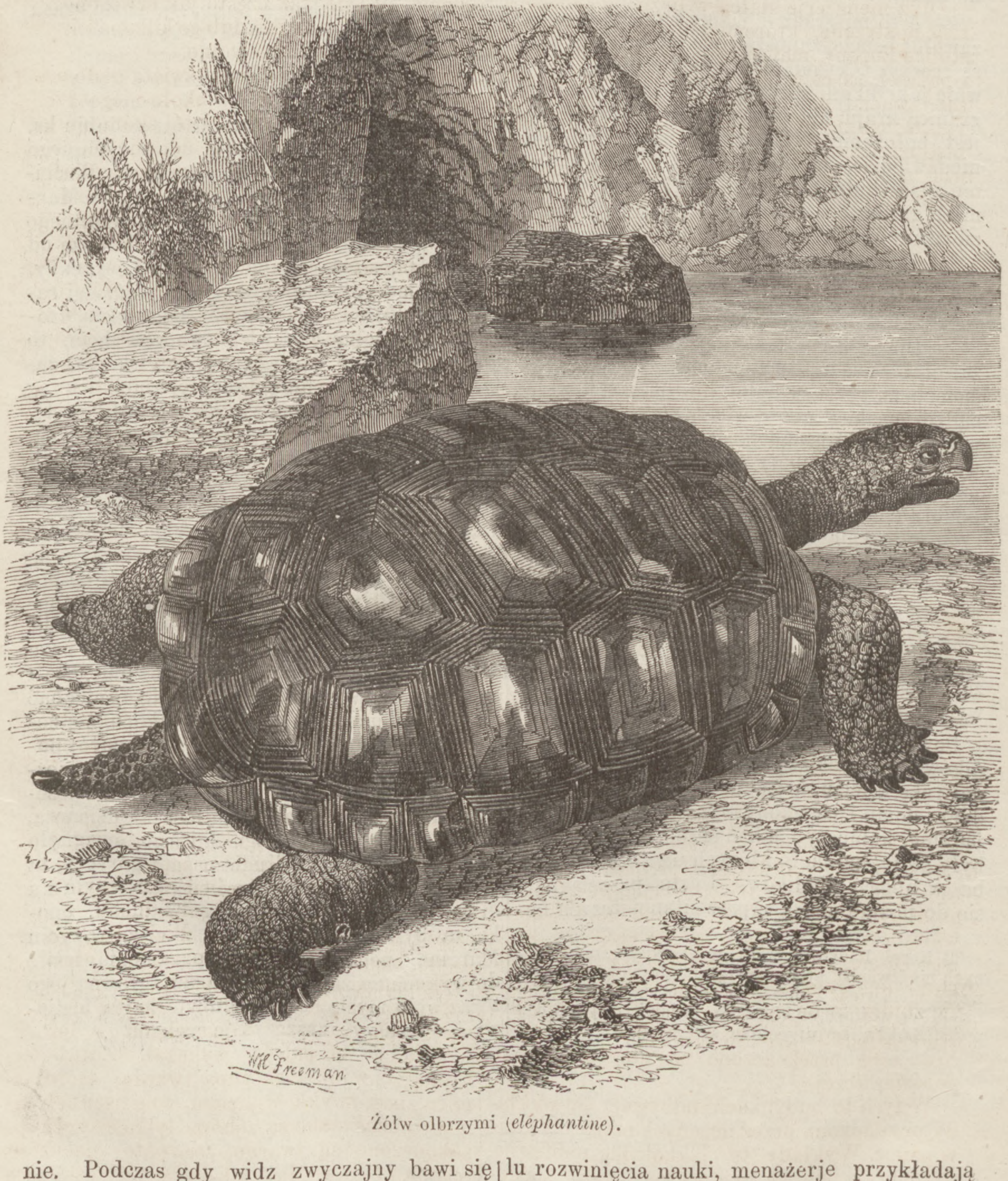
(1) Karol Radziwiłł miał w Nieświeżu sześć czarnych niedźwiedzi, które zaprzęgano do powozu, uczony téż niedźwiedź z biczem w łapie siadał na kozioł i służył za woźnicę; w kilka lat poźniéj, cały ten cug posłał Radziwiłł w upominku sułtanowi.

XXII.

Trzy lata upłynęły od czasu zaślubin ks. Marcina w Hermansztadzie, jak w życiu jego tak w kraju ważne zaszły odmiany Wróciwszy do stron rodzinnych, wiele miał ks. Marcin kłopotów i trudów, z powodu smutnego stanu opuszczonnego majątku, w którym od lat kilku gospodarowali rządcy i dzierżawcy, nie zdając nikomu z swych czynności rachunku. Młody ten magnat, miał wiele wrodzonych zdolności i wiele dobrych chęci, to też na początku nowego obywatelskiego zawodu, wziął się usilnie do pracy, słuchał uwag doświadczonych ludzi, za których radą postępując, ustanowił w swych dobrach nowych, zdolnych oficjalistów, którzy obowiązani byli składać mu kwartalne rachunki i zdawać sprawę ze stanu interesów każdego majątku. Tymczasem żona ks. Marcina w rok po ślubie, powiła mu córkę w Budzie, dokąd wyjechała na czas słabości i pozostawała pod opieką matki; mąż dowiedziawszy się, że jest ojcem, nie posiadał się z radości i pojechał wkrótce w celu odwiedzenia żony i dziecka, poczem w parę miesięcy wrócili znów do kraju i zamieszkali w Połonnéj. Wszystko zdawało się uśmiechać teraz młodemu księciu, widok ukochanéj żony i dziecka, wlewał do jego serca zdrój pociech, pod których wpływem zapomniał o ciężkich przygodach, doświadczonych w przeszłości. Pierwsza namiętna miłość młodzieńcza, pokryła żałobą wiośniane dni jego, ściągnęła surowy gniew ojca i długie pasmo goryczy, ta druga, nie mniéj gorąca miłość, otworzyła mu drzwi więzienia i odrodziła go w duchu, epoka ta była w istocie najpiękniejszą w życiu Marcina, poczuł on nowe pragnienia i siłę do wykonania zacnych zamiarów, główną jego teraz było myślą, stać się użytecznym krajowi i odznaczyć zaszczytnie swe imię.

MENAŻERJA MUZEUM HISTORJI NATURALNÉJ W PARYŻU I WYKŁADY PR. DUMÉRILA.

Ciekawe są obrazy życia zwierząt stref odmiennych, jakie nam przedstawia menażerja, lecz ma ona jeszcze daleko ważniejsze zadanie. Podczas gdy widz zwyczajny bawi się zręcznemi ruchami małp, podziwia siłę lwa, lub symetryczny rysunek skóry tygrysiéj, badacz dopatruje wszystkich warunków bytu tych zwierząt, śledzi jakie jest ich zadanie w ogóle stworzenia, słowem wyczytuje jedną zgłoskę więcéj w księdze natury. Oprócz celu rozwinięcia nauki, menażerje przykładają się jeszcze do przyswojenia gatunków stref innych, a więc do wykształcenia nowych pomocników dla człowieka. Wiadomo, że ze trzy-



Żółw olbrzymi (*eléphantine*).

dzieści kilka gatunków naszych zwierząt domowych, pochodzi ze Wschodu. Kot domowy tak różniący się od kota dzikiego europejskiego, składem swym anatomicznym zbliża się najdokładniéj do afrykańskiego kota, musiał więc być przywiezionym z Egiptu, bo podobne do jego skieletu kości, licznie są rozrzucone w piramidach. Indyk, dziś tak pospolity w Europie, jest z Indji Zachodnich, z Azji zaś, przybyło nam wiele innych gatunków z rodzaju *grzebiących*.

Otóż menażerje stałe, w liczne okazy zwierząt opatrzone, któremi słusznie się chlubią stolice Europy, mają przedewszystkiém naukę i pożytek na celu; potrzebę ich wszakże przed niedawnemi dopiero zrozumiano czasy. Paryzka menażerja, znajdująca się przy muzeum historji naturalnéj, powstała dopiero w XVIII wieku. W 1796 r., był dyrektorem ogrodu zwanego poprzednio królewskim, późniéj narodowym, botanicznym, (jardin des Plantes). Bernardin de St. Pierre, obok niego zaś, stał jeden z najpierwszych naturalistów Francji, Etienne Geoffroy St. Hilaire. Zdarzyło się wtedy, że policja zakazawszy trzymania dzikich zwierząt wśród miasta, skonfiskowała aż trzy prywatne ruchome menażerje, a zwierzęta odesłała do ogrodu. Na raz, o wieczornym zmierzchu, przed kratą przyszłego muzeum historji naturalnéj, dziś jednego z pierwszych w Europie, stanęły zwierzęta sfer dalekich, wraz ze swemi zrozpaczonemi właścicielami, którym odbierano możność zarobku; dyrekcja ogrodu, jako instytucji publicznéj, mogła nie przyjąć zwierząt, które jéj narzuciła municypalność, lecz w takim razie niezawodnieby je pozabijano, a właściciele byliby pozbawieni zarobku. Co tu począć?.... w ogrodzie nie było budynku na pomieszczenie, ani funduszu na ich utrzymanie, ale Geoffroy St. Hilaire nie waha się ani chwili: stawia klatki ze zwierzętami, pod własnemi oknami, układa się z właścicielami, przyjmując ich za dozorców i tym sposobem daje początek znakomitéj dziś menażerji. W 1838 r., Duméril (ojciec) wyjednał u władzy nowe zakupy zwierząt; obecnie zaś, zasilają ją dary pochodzące z różnych części świata. Imiona ofiarodawców, wydrukowane na dwóch tablicach powieszonych w galerji ogrodu, przyczem w przygotowanych na ten cel księgach, wpisane są daty przybycia zwierzęcia i dzień jego skonu. Przy pomienionym ogrodzie pobudowano gmachy, w jednym z nich mieszczą się zbiory zwierząt z wielką starannością wypchanych, w innych okazy roślin lub minerałów, inne przeznaczone na muzea anatomji porównawczéj.

W tych to budynkach odbywają się wykłady prowadzone przez uczonych mających imię w nauce. Wykłady te, jakkolwiek publiczne, odznaczają się jak najgruntowniejszą ścisłością; tak podana nauka musi być zajmującą, chociaż w wykładach swoich profesorowie biorą często przedmiota, które zrazu nie wydają się, aby mogły zaciekawić tak różnorodną publiczność. W roku zeszłym, prof. Duméril (syn), miał szereg wykładów o gadach.

W menażerji paryzkiéj przesunęło się gadów przeszło 4,000, jest to dział prawie najliczniejszy, dogląda ich człowiek rzadkiej roztropności, któremu p. Duméril zawdzięcza nie jeden ciekawy szczegół, jakiby łatwo mógł ujść jego uwagi, gdyby nie ten dozorca czujny, rozkochany, iż tak rzec można, w swoich chłodnych wychowankach. Pożywienia nie udziela im się tak często jak czworonogom; niektóre jedzą co kilka lub co kilkanaście dni, trawią bowiem bardzo wolno.

Zbliżamy się tedy do tego świata gadów, tak obojętnego na to, co się w około niego dzieje, tak zamkniętego w sobie, w téj skórze śliskiéj, lub łuskowatéj, niemiłéj w dotknięciu, często wstrętnéj dla oka, z oddechem nieregularnym, z krwią pozornie zimną. Cóż tam może być ciekawego w tém życiu na wpół zastygłem? pytamy. I oto usta badacza rozsuwają zwolna przed umysłem naszym tajemnice życia tego. Co za cudowna komplikacja szczegółów! organizm daleko kompletniejszy, niż się zrazu spodziewać można było; budowa kostna, przypominająca inne, wykształceńsze zwierzęta, cyrkulacja krwi, wprawdzie niekompletna, nieregularna, bo w sercu mają nie dwie komorki, jak inne zwierzęta, lecz jedną, niby zbiornik, w którym się krew arterjalna, z wenalną miesza, więc téż i nieregularne oddychanie, ale za to mają tę korzyść, że przez kilka godzin, a nawet przez dzień oddech wstrzymać mogą. Temperatura ich ciała, zarówno zmienna; zimne w dotknięciu, uważane téż były jako mające krew zimną, jednak za pomocą termometru kładzionego w otwory, przekonano się, że skoro przyjmą pożywienie, to jest gdy proces trawienia się odbywa, temperatura ciała podnosi się o jeden lub dwa stopnie, co dowodzi fałszywości twierdzeń, że krew ich jest zimną. Słowem, tu się przekonać można dowodnie, że urok nauki pokazuje się dopiero wśród ścisłego, wyczerpującego przedmiot wykładu. Najpierwszy, najwyraźniejszy pożytek, jaki się zeń ciągnie, jest wprawa w porządne myślenie. Profesor zatrzymał się najdłużéj nad żółwiami, mówił nie tylko o ich budowie, lecz i o pożytkach, jakie z nich człowiek dla siebie ciągnie. Podzielił je na lądowe, błotne, rzeczne i morskie i otoczony przeróżnemi okazami wypchanych i żywych żółwi, oraz ich szkieletów, dokładnie różnicę tych działów, w szczękach, w łapach, w układzie ich palców wykazał. Żółwie wylęgają się z jaj ze skorupą twardą, które samica znosi zwykle w piasku, w miejscu ustronném; pozbawione są zębów, tylko szczęki ich zakończone są twardo, rogowato, nakształt dziobu ptaków. Mają tak jak u tych ostatnich zasuwającą się z boku trzecią powiekę. Zarówno z ptakami nie mogą poruszać kolumną kręgową części piersiowéj, a poruszają jedy-

nie głową, ogonem i łapami. W części szyjnéj kolumny kręgowéj, mają po ośm pacierzy pozbawionych wyrostków ciernistych, co jéj giętkość ułatwia i tym sposobem szyja zdolną jest, skrzywiwszy się w literę *S*, schować się pod pancerz, Przeciwnie, te wyrostki cierniste, są bardzo rozwinięte w kręgach piersiowych i lędźwiowych, które zlewając się z sobą, stanowią środkową linję tarczy górnéj. Zdawałoby się pozornie, że skorupa żółwia, ten dom, który nosić jest zmuszony, jest czemciś odrębném, nadzwyczajném, u żadnych innych zwierząt się niepowtarzającém, tymczasem w naturze jest tylko ciągła rozmaitość w jedności i przekonać się łatwo można, że żółwie są także zwierzętami kręgowemi, tyko pomiędzy ich żebra osadziła się kość tworząca właśnie górną część pancerza, czyli skorupy, któréj dolna część powstała z rozszerzenia kości mostkowéj, opatrzonéj krótszemi żebrami, pomiędzy któremi także materja kostna się znajduje. Żebra te stanowiące skielet pancerza łączą się z sobą kością pośrodkową, która boki jego otacza. Żółwie lądowe mają obie połowy skorupy połączone kością i chcąc je rozdzielić, piłować je trzeba, u morskich przeciwnie łatwo jest rozciąć, bo spojone są więzadłami. U niektórych gatunków, część spodnia składa się jakby z dwóch części ruchomych, inne znów mają środkową część dolnéj skorupy nieruchomą, a przednią część i tylną ruchomą, inne jeszcze zaledwie samą tylną częścią nieco poruszają. Żółwie wewnątrz skorupy mają kości odpowiadające łopatkom i miednicy, a w łapach ich są równie kości u innych zwierząt się znajdujące. Niektóre gatunki mają skorupę miękką, wyraźnie jakby z rzemienia, lub też pokrycia rogowe, z których tak zwane szyldrety znane są powszechnie w handlu. Pokrycia te rogowe są, albo zupełnie gładkie i świecące, albo też z wypukłościami symetrycznie ułożonemi. Z pokryciem tak zwaném *dachówkowém* są żółwie morskie, których skorupa pokryta zachodzącemi na siebie, jak dachówka, łuskami, wydaje najbardziéj ceniony szyldkret i ten we Francji do ceny 60 fr. za kilogram (dwa przeszło funty) dochodzi. Jest jeszcze drugi tańszy gatunek i trzeci najpodlejszy, który zaledwie 5 fr. za kilogram się płaci. W r. 1863 sprowadzono do Francji różnemi drogami z Ameryki i Indji 43,000 kilogramów szyldkretu.

Przypatrzmy się teraz żółwiom, jako przedmiotowi pożywienia. Żółwie ziemne są jadane na wyspach Komorskich, na niektórych wyspach kanału Mozambickiego i innych. Na wyspach należących do Francji, *Bourbon i Maurice*, żółw olbrzymi (*éléphantine*), którego przedstawia rycina nasza, długi dwa łokcie blisko, jest przedmiotem handlu w jatkach. Żółw zwany *greckim*, bardzo używany w Hiszpanji, tém bardziéj, że jest do potraw postnych policzony. To też przy klasztorach urządzają miejsca ogrodzone, rodzaj parków, w których jednéj części, zasiewają warzywa ulubione przez żółwiów, drugą przeznaczają dla nich samych na mieszkanie. Za pomocą kamieni i suchych gałęzi, urządzają im sztuczne schronienia; przestrzeń wystawioną na działanie słońca, przysypują grubo piaskiem, ażeby w nim jaja swe znosić mogły i według potrzeby wybierają żółwie do jedzenia, jak gołębie z gołębnika. Że zaś one rosną wolno, nie biorą ich zwykle młodszych jak lat dwa lub więcéj.

Żółw maurytański, podobny do poprzedzającego, lecz dający się rozróżnić wyrostkiem na tylnych nogach, jest ze smakiem jedzony przez żołnierzy francuzkich w Algerji, którzy zwykli w czasie marszu, zawieszać na dziurce od guzika, część zwierzchnią jego wypukłéj skorupy i używać jéj zamiast miseczki do jedzenia lub picia. W Paryżu jednak nie zdołano wprowadzić go w użycie. Towarzystwo aklimatyzacyjne, usiłuje przyswoić niektóre gatunki żółwi, aby dać środek pożywienia, licznie nagromadzonéj w różnych punktach ludności.

Karol Arnim widział na wyspach Gallopagos, jak ludzie w czasie gorąca nasycali pragnienie swoje wyjmując z rozpłatanego żółwia pęcherz, z którego płyn wypijali. Tamtejsze lądowe żółwie bowiem, przechodząc nieraz znaczną odległość dla napicia się, nabierają w siebie ilość wody, która im służy na dość długo i wracają do swych siedzib, tak samo wielkiemi gromadami, jak przyszły, że aż poznać można ich przejście na drodze szczególniejszym sposobem zdeptanéj.

We Francji południowéj, znajdował się niegdyś licznie, dziś prawie zaginiony gatunek żółwia lądowego *Sistude d'Europe*, którego, lubo mięso nie było dość smaczne, dawało wszakże rosół wyborny. Rosół z żółwia jest zwykle zielony, przyprawiają go suto korzeniami, kawałki po nim pływające, przypominają smak główki cielęcéj, z téj też główki, robią francuzcy kucharze ową zupę, należącą do wykwintnych, znaną pod nazwiskiem *à la tortue*.

Małe żółwie wodne czyli *bagniste* (*paludines*), są podawane w czasie uczt w Stanach Zjednoczonych, jako przedmiot zbytku, szczególniéj też gatunek zwany *Emis guttata*. Przyprawiają go winem maderą, oraz różnemi korzeniami i podają w skorupie. Sztuka tak przyrządzona, kosztuje trzy dolary, a więc około naszych 30 złotych, służy zaś tylko dla jednéj osoby. Zwyczajniejszego użytku żółwie morskie, ponieważ znacznie większe, podają się krajane w kawałki. Pomiędzy pierwszemi, są gatunki, których dla szczególnéj ich woni, jeść nie można, jeden zwany *Sterotipus odoratus*, pachnie piżmem. Żółwie rzeczne (*trionix*), żyjące w wielkich rzekach Afryki i Ameryki, są wybornego smaku, lecz trudne do schwytania, bo prawie zawsze siedzą w wodzie. To też kiedy się murzynowi uda schwytać choć

jednego, sam go jeść nie śmie, ale niesie w darze naczelnikowi pokolenia.

Diodor sycylijski opowiada, że nad brzegami morza czerwonego, mieszkały niegdyś ludy, których *żółwiożercami* nazywano. Dachy ich domów, pokryte były skorupami tych zwierząt, a większe skorupy, za czółna im służyły.

Wszystkie żółwie morskie, nie są jadalnemi, te zaś, które są zdatne na pożywienie, bywają przedmiotem polowań bardzo przemyślnych. Czasem czatują na nich, gdy wychodzą na brzeg znosić jaja; wtedy tak są zajęte umieszczaniem tych jaj w piasku, że je łatwo zejść, nie zwróciwszy ich uwagi, a przewróciwszy w znak, odejmuje się im możność ucieczki. Następnie, sznurami zaciągają ich na statki. Są zręczni rybacy, którzą łowią je harponami, to jest rodzajem haków żelaznych, używanych także przy połowie niektórych ryb. Wystrzegają się tylko ranić ich w głowę, wtedy bowiem, nastąpiłaby ich śmierć rychła i zepsucie; jest jeszcze sposób ich łowienia, czatując w czółnach ponad brzegami. Gdy dostrzegą żółwia, jeden z ludzi czółno opuszcza, wskakuje mu pośpiesznie na grzbiet i szyję dusi rękoma. Drudzy w pomoc mu przychodzą i więzień złapany, zostaje na brzeg wyciągnięty.

Wątroba morskich żółwi, bywa tak ogromna, że według przesadnych opowiadań podróżników, można z niéj zrobić potrawę na sto osób. Długości mają trzy łokcie i więcéj, ważą 700 do 800 funtów, na dowód zaś ich siły, przytaczają między innemi taki szczegół: pewien człowiek, trafił żółwia hakiem, czyli harponem do którego była przywiązana lina, uczepiona drugim końcem u łodzi. Łódź ta, porwaną została tak silnie i raptownie, przez niezbyt rannego żółwia, że człowiek weń będący, nie miał czasu odciąć liny, ciągle wywracany wraz z łodzią, wszystkie narzędzia pogubił i pasując się dni parę z niebezpieczeństwem, ledwie żywy osiadł na piasku.

Na wyspach antylskich, połów żółwiów jest znaczny. Robią nad brzegami morza zagrody, gdzie ich żywe przechowują, jak gdyby trzodę czworonożnych. Na wyspie św. Małgorzaty, jest wielki skład tego jadalnego towaru. Na hiszpańskiéj Antylli La Trinidad, zjadają rocznie 700,000 do 800,000 kilogramów, (kilogram jest trochę więcéj niż dwa nasze funty), żółwi.

Ojciec Labarre, jezuita, opowiada w jaki sposób je widział przyrządzane. Otworzywszy dwa żółwie, wyjęto ich mięso i posiekano, wymieszawszy z solą, jajami, tłustością i korzeniami różnemi; tę siekaninę włożono w skorupę jednego żółwia i oblepiono szczelnie tłustém ciastem. Następnie wydrążywszy otwór w ziemi, napalono wielki ogień; po wypaleniu wygarnięto węgle i wsadzono nadzianego żółwia, a przysypawszy piaskiem, z wierzchu żarem okryto. Po niejakim czasie, ten oryginalny pasztet, był już gotów. Ojciec Labarre nie może się wychwalić jego wykwintnego smaku i zapachu.

Pojętność u żółwiów jest żadna, w menażerjach nie są w stanie rozróżnić człowieka, który ich karmi, że zaś szukają zwykle miejsc słońcem ogrzanych, że unikają deszczu i nie lubią żeby im zmoczył nawet skorupę, to są rzeczy najzwyczajniejszego instynktu. Zmysłu *dotykania* nie ma też u nich śladu i nic dziwnego; tak mała część ich ciała skórą jest okryta, a jeszcze ta skóra na nogach, ma prawie zawsze łuski rogowe, a na głowie niby blaszki. Uważano tylko w menażerjach, że indywidua odmiennéj płci, stawają na przeciw siebie i to chowając głowę, to wyciągając ją, uderzają się nią wzajem, co zdaje się być dla nich pewną rozkoszą zmysłu dotykania. *Smak* mają bezwątpienia cokolwiek więcéj rozwinięty, niż u innych płazów, które gwałtownie połykają swoją zdobycz, podczas kiedy żółwie lądowe i niektóre morskie, żywiąc się pokarmami roślinnemi, żują je dość długo.

Żółwie oddychają nozdrzami, zamykając i otwierając otwór ich spodni, będący po niżéj podniebienia, językiem. U niektórych rzecznych, nos przedłuża się w pewien rodzaj trąby, a raczéj ryja, który pływając, unoszą ponad wodę dla oddychania, jak to czynią hippopotamy.

Żółwie w znacznéj części są roślinożerne, szczególniéj też lądowe i morskie, które żyją porostami, choć większa ich część rybami i mięczakami się żywi. Tak samo i żółwie lądowe zjadają w ogrodach ślimaki i różne owady roślinności szkodliwe i tem człowiekowi oddają przysługę, na podobieństwo żab, nie tyle jednak co one skutecznie, bo szkodzą zarówno roślinom, podczas kiedy żaby i ropuchy zjadając owady, nie tykają roślin.

Żółwie rzeczne, są bardzo żarłoczne, żywią się rybami, przednia część ich dolnéj szczęki, jest nieco wklęsła, dolna w haczyk w górę się zakrzywia tak, że się zakładają na siebie jak nożyczki i doskonale żują przy obfitém wydzielaniu się śliny. Przytém u niektórych są szczęki ostro ząbkowane po bokach. Fałd błony szluzowéj, zamyka w czasie połykania otwór oddechowy. Przewód pokarmowy (*oesophagium*), jest u morskich żółwiów cały wyłożony pewnym rodzajem kolców, zwróconych ostrzem ku dołowi, których użytku, inaczéj wytłomaczyć nie można, jak tylko tém, że zwierzę połyka z pokarmami wielką ilość wody morskiéj, zupełnie dla jego organizmu nie potrzebnéj i tę wodę potém, za pomocą pewnego rodzaju wymiotu wydaje, kolce zatém puszczając wodę, przeszkadzają wyjściu pokarmów.

Podczas kiedy inne zwierzęta kręgowe, nie mogą żyć bez regularnego oddychania, żółwie wytrzymują bez tchu po kilka i kilkanaście godzin. Robiono z niemi takie doświadczenia, że kładziono ich w gorący olej, gdzie pozosta-

wszy około sześciu godzin, po wyjęciu, żyły jeszcze zdrowo. Przy funkcji oddychania u człowieka np. rozchodzą się cokolwiek żebra, robiąc niejako większą przestrzeń płucom, dla przyjęcia wchodzącego z zewnątrz powietrza, u żółwiów z przyczyny ścisłości i twardości skorupy, rozszerzanie się płuc, przez stosowne powiększenie klatki piersiowéj nie może mieć miejsca, zauważano jednak, że za pomocą muskułów bocznych, robią lekkie poruszenia, jakby tym sposobem unosiły zwierzchnią skorupę, coby dowodziło, że nie oddychają (według twierdzenia niektórych), tylko za pomocą łykania powietrza. To pewno jednak, że nie łatwo zadusić się mogą; podłożone pod klosz maszyny pneumatycznéj, żyją jeszcze dość długo, a Humbold zauważył, że w Ameryce, z bagien, gdzie pozostają żółwie w stanie odrętwienia przez zimę, wiele wydziela się wodoru siarkowego, który im bynajmniéj nie szkodzi, pomimo, że dla innych zwierząt, płucami oddychających, jest zabójczy.

Jaja są także charakterystyczną cechą różnych gatunków żółwiów; niektóre są podługowate jak u ptaków, drugie przeciwnie, są doskonale okrągłe. W Ameryce północnéj, uczony naturalista d'Aguaziz, wydaje olbrzymie dzieło historji naturalnéj, na które koszta potrzebne przez podpisy się zbierają; w tem dziele tablice wyobrażające kształty jaj żółwi, niepoślednie zajmują miejsce. U niektórych żółwi morskich, skorupa jaja składa się jakby z dwóch warstw leżących jedna na drugiéj. Samica raz zniosłszy jaja i umieściwszy je starannie w piasku, już się niemi więcéj nie zajmuje; małe po wylęgnieniu giną w znacznéj ilości, od zwierząt, które się niemi żywią, pożarte, te które ocaleją, dają sobie same radę. Skoro gromady samic, zaczynają się zbierać w pewném miejscu, upatrzoném za najdogodniejsze, mieszkańcy Ameryki (powiada Humbold), urządzają czujne straże ponad rzekami, żeby nawet ludzie pływający czółnami, nie straszyli odgłosem wioseł tych zwierząt płochliwych. Przestrzeń, na któréj żółwie zostawiają jaja, zwą *areą*. Na tych areach zarządzają zaraz poszukiwanie jaj, za pomocą macania kijem. Missjonarze czuwają zwykle nad tém, w miejscach gdzie się znajdują; zaprowadzają pewien porządek w tych poszukiwaniach aby indjanie niebacznem niszczeniem jaj, nie pozbawiali się tak ważnego przedmiotu handlu. Tłustość bowiem, z jaj wydobyta, służy do pokarmów, gdy jaja nie są zalężone, co już jéj smak psuje, oprócz tego, jest szczególnie używana do namazywania, czyli malowania skóry (*tatouage*), mieści bowiem w sobie materje koloryzujące. Area długa na sto dwadzieścia stóp, a szeroka na trzydzieści, może wydać sto miar tłuszczu, każda wartości tysiąca franków Miara taka, mieści w sobie około 25 butelek. Ztąd widzimy,, że tych jaj bywa miljonami; każda samica znosi ich, co najmniéj sto.

Żółwie, jak mówiliśmy, rozwijają się bardzo wolno; zaledwie w siedmiu latach życia, dochodzą do pory, w któréj rozmnażać się mogą, rosną zaś jeszcze daleko dłużéj.

Takiemi to, budzącemi zajęcie szczegółami, profesor przeplatał, inne ważniejsze, a równie zajmujące, tyczące się anatomji i fizjologji tych zwierząt.

J. Dobieszewska (Śmigielska).

DZIEWIC-WIECZÓR.

Powieść J. D. H. Temme, przełożona z niemieckiego.

(*Ciąg dalszy*).

— Wielki Boże! Holm!.... to pan?! czego pan chcesz odemnie?! odrzekła mu powstając matka, a głos jéj, zdradzał wielki przestrach.

— Gdzie mógłbym z panią pomówić natychmiast na osobności?

— Czy koniecznie masz ze mną mówić?

— Najpewniéj, najpewniéj, mam wiadomości o jéj synu.

— O Ulryku! krzyknęła kobieta.

— O nim i o jego ojcu.

— Boże mój! mów pan natychmiast, zaklinam pana.

— A czy nam tu kto nie przeszkodzi?

— Nie.

Holm już otwierał usta, gdy ozwał się w pobliżu groźny i rozkazujący głos pana młodego.

— Pani matko! rzekł on, z kim tak rozmawiasz?

— Ja? odparła z przerażeniem, a z kimże mogłabym rozmawiać?

— Zaraz się dowiem.

Prędkim krokiem podszedł do furtki i chciał ją gwałtem otworzyć, ale ona była mocno zaryglowaną.

— Do kroćset djabłów!

Spojrzał przez wierzch i nic nie zobaczył, Holm bowiem rzucił się na ziemię koło płotu: Klnąc, zwrócił się pan młody i rzekł jeszcze.

— Ja chcę wiedzieć, z kim pani tu rozmawiałaś?

— Panie! odrzekła mu spokojnie i z powagą matka, nie masz prawa tym tonem przemawiać do mnie, nie otrzymasz też żadnéj odpowiedzi.

— Proszę więc panią z sobą, rzekł w najwyższym gniewie, nie wypada, żeby gospodyni domu, opuszczała swoich gości, zwłaszcza gdy samego gospodarza niema w domu!

Słyszeliśmy jeszcze potém, jak biedna kobieta opuściła altankę; zaraz też podniósł się również Holm i obchodząc płot z prawéj strony, znikł przed nami w cieniach ogrodu. Udaliśmy się znów w naszą drogę.

— Ależ to smutny dziewic-wieczór, zawołałem, nie mogąc dłużéj wytrzymać. I te biedne kobiety same jedne w mocy tego człowieka? Mąż i ojciec jest nieobecnym, syn i brat, także—i ta uroczystość bez nich! A jutro już ślub! Jakiejże to zatrważającéj wiadomości, lękała się ta kobieta o nieobecnych?

Poborca nie mógł mi dać żadnéj odpowiedzi na te zapytania; wkrótce doszedłszy do naszego powozu, udaliśmy się drogą do dworu.

II.

Muszę wprzód opowiedzieć, co spowodowało nasze przybycie do tego domu.

Dniem przedtém, wręczył mi żandarm pismo od pogranicznéj straży, a że granica była odemnie o mil pięć odległą, pismo to, doszło mnie ledwo nad wieczorem.

Donoszono mi, że nad ranem tegoż dnia, patrol na obcéj stronie znalazł ciało świeżo zabitego nieznajomego człowieka. Ze wszystkich okoliczności, wnosić należało, że zabójstwo spełnionem zostało na naszéj stronie, lecz tylko jak najśpieszniejsze śledztwo, przedsięwzięte jednocześnie po obu stronach granicy, mogło doprowadzić do odkrycia winowajcy. Proszono mię więc, abym przybył niezwłocznie w tym celu nad granicę.

Zacząłem wybierać się w drogę, ale zarazem, trzeba było już tu na miejscu porobić wstępne przygotowania do śledztwa. Okręgowy sąd kryminalny, jeszcze nic o tém nie wiedział; musiałem go zawiadomić.

— Czy wiadomo, rzekłem do żandarma, co ten papier zawiera?

— Nie wiem, posłaniec mi nic nie mówił.

— Nie opowiadał nic o zabójstwie?

— Ani słowa. Przywiózł mi to pismo i dał do zrozumienia na migi, żebym je prędzéj doręczył. Nie umiał po niemiecku, ja zaś nie znałem jego języka.

— Nie słyszałeś przedtem o zabójstwie popołnioném nad granicą?

— Nie.

— Ani o nadużyciach granicznych?

— Od jakiegoś czasu nic o tém nie słychać. Przemytnikom przed dwoma tygodniami nie poszczęściło się i od téj pory jakby zaniechali swego rzemiosła.

Kontrabanda była wówczas w pełnym rozwiciu na granicy naszéj, wprawdzie i dziś jeszcze nie ustała, lecz wtedy było to rzemiosło na wielką skalę; odważne i uzbrojone bandy, przemycały towary przez granicę z wielką przezornością, a gdy ta im niekiedy nie wystarczała, uciekały się do gwałtów. Co nocy prawie odbywały się potyczki [między przemytnikami a graniczną strażą.

Nieraz były to potyczki krwawe, z różnym powodzeniem; lecz późniéj zawsze wygrana była na stronie przemytników, którym, fałszywemi atakami, udało się odprowadzić czujność straży w inną stronę, tak że tam, gdzie rzeczywiście zamierzali przewieźć towary, granica zostawała wolną. Raptem szczęście się odwróciło od nich; przeciw fałszywym attakom posłano słabe odparcie, a tam gdzie prowadzono towary, osadzono większą siłę i przemytnicy zostali pobici. Gdy podobne temu niepowodzenia, coraz częściéj się powtarzały, zaczęli podejrzywać zdradę pomiędzy towarzyszami swemi.

Od tego czasu, jak tu już wspomniałem, siedzieli cicho i nic już o nadużyciach granicznych nie słyszano.

Przybyłem z moją eskortą nad granicę, nie dowiedziawszy się żadnego szczegółu o zabiciu człowieka; tameczni urzędnicy już mnie oczekiwali i poprowadzili do trupa.

Leżał on w krzakach olszyny, o jakie sześćdziesiąt kroków od granicy.

Zabity, był młodym człowiekiem delikatnéj budowy, wzrostu więcéj niżeli średniego, włosy miał jasne i rysy szlachetne, zdradzające człowieka należącego do ukształceńszego społeczeństwa, trudno zatém było przypuścić, aby mógł należeć do przemytników, lub być ich wspólnikiem, ponieważ tutejsza banda składała się z samych wyrzutków społeczeństwa. Dziwném było tylko, że zwierzchnią odzież, nosił z grubego sukna, jak prosty wieśniak, gdy pod spodem miał cienką bieliznę i atłasową kamizelkę.

Śmierć starano się zadać podwójnym sposobem. Na sam przód morderca chciał udusić swoją ofiarę, bo ślady sznurka mocno koło szyi zaciśnionego, były widoczne. Daléj głowa była w kilku miejscach rozbitą; rany te, musiały być zadane jakiémś tępém narzędziem; prostym kijem lub kawałkiem drzewa.

Na pogranicznym wale, złamany krzak do-

wodził, że ktoś w poprzek przechodził. Znalezione ślady nóg, w kierunku prostym przez wał, potwierdzały to dostatecznie. Tym śladem przeszliśmy na drugą stronę i o jakie sto kroków, doszliśmy do miejsca zbrodni. Piasek w tém miejscu. na kilka stóp wokoło, zdawał się być mocno zafarbowany, jakby przesiąkły krwią. Na gałęziach i liściach olszyny, była także krew, która musiała bryznąć wskutek silnego rozbicia czaszki. A że ani na olszynkach ani na sosenkach, żadna gałązka nie była złamaną, żaden liść nie był zerwany lub zwinięty, z tego wniosłem, że między mordercą i zabitym, walki nie było. Z obejrzenia więc trupa i miejsca zbrodni, zrobiłem następne wnioski.

Zabójca musiał napaść znienacka i od pierwszego napadu, musiał zabić swoją ofiarę niezdolną do obrony. A dla upewnienia się o dokonaném zabójstwie, bił go jakiemś tępem narzędziem w głowę. Ciało, przeniósł przez granicę; nie wlókł po ziemi, bo by o tém świadczyły ślady na piasku i na gruncie błotnistym, których brakło; a zatém niósł je na swoich barkach, z czego wniosłem, że jeżeli to zabójstwo wykonał jeden człowiek, musiał mieć niezwykłą siłę.

Z innéj strony, żaden szczegół nie wskazywał, ani kto był ten morderca, ani kto zabity.

Dalsze prowadzenie śledztwa, dla spóźnionéj pory, miało nie być prowadzone, dopiero nazajutrz. A ponieważ na stronie obcéj na teraz, nie miałem już nic do czynienia, powróciłem na powrót przez granicę, z zamiarem pozostania gdzie w pobliżu, rachując na jakieś niespodziewane wyjaśnienie całego wypadku.

Udałem się z moją komendą do pierwszéj najbliższéj pruskiéj wioski, zaleciwszy towarzyszom najściślejsze milczenie, o wszystkiém co wiedzieli.

O pół mili, wzdłuż granicy, zajechaliśmy nareszcie do jakiejś nędznéj karczmy. Dzień był na schyłku, miałem więc w perspektywie, przepędzić wieczór o suchym chlebie, pośród zapachu dymu tabacznego, kwaśnego piwa i zgniłych śledzi.

Wtém zajechał przed karczmę znany mi powóz, zaprzężony parą prześlicznych kasztanów i wysoki dobréj tuszy mężczyzna, wszedł do izby karczemnéj. Powierzchowność jego świadczyła o dostatniém mieniu i wesołym humorze; był to poborca podatków od przemysłu, przyjaciel mój, pan radca Kleman, w jednym ze mną mieszkający mieście.

Prawdziwie przeląkłem się, obaczywszy go tutaj.

— Przyjacielu! co porabiasz w téj nędznéj karczmie? Jakież nieszczęście zapędziło cię tutaj, spytałem zadziwiony.

— Jadę na *dziewic-wieczór*, odparł mi tonem poważnym, nie zgadzającym się z jego wesołem usposobieniem. Ale ty? jakim sposobem ty tutaj jesteś?

— Ja? powracam z miejsca zbrodni.

— Hm! od zbrodni do zbrodni, od rabunku do rabunku, od złodziejstwa do złodziejstwa, tak! to twój obowiązek.

— A na teraz, chciałbym i ciebie do niego wciągnąć.

— Na miłość Boga! cóż ma wspólnego pobór podatków, ze zbrodnią i zabójstwem?

— Wszak masz do czynienia z przemytnikami?

— Tak, ale tylko z temi biedakami, którzy dla żony i dzieci, przynoszą z zagranicy kilka łutów soli.

— Czy sądzisz, że oni nie zabijają się między sobą?

— Więc ty powracasz z bójki przemytników?

Opowiedziałem mu całe zdarzenie. Słuchał najpierw w milczeniu, potém jednak, zerwał się raptem, jakby sobie coś przypomniał i rzekł poważnie:

— Jedź ze mną na ten dziewic-wieczór.

— A cóż ja tam będę robił?

— Przyszło mi coś szczególnego na myśl.

— Co by miało stosunek z zabójstwem?

— Tego nie wiem, lecz słuchaj, znasz ty obywatela Bertossa?

— Nigdy o nim nie słyszałem.

— Od lat czterech mieszka w tych stronach i jest dziedzicem dóbr Kalwellen.

— Tu, niedaleko?

— O trzy mile ztąd.

— Nie byłem tam nigdy, ma to być wielki majątek.

— Tak, a przytém i browar ogromny. Właśnie bywam tam z tego powodu, gorzelnie bowiem do mego urzędu należą, jak do twego zbrodnia i zabójstwo i zaznajomiłem się z dziedzicem i jego rodziną.

— Ach! więc ma rodzinę?

— Ma prześliczną córkę!

— Tak, to zapewne jedziesz na jéj dziewic-wieczór?

— Tak jest.

— Mówisz tonem, jakby chodziło o jakieś nieszczęście?

— Ba! Czyż dużo małżeństw szczęśliwych możesz mi wyliczyć? Ma się rozumieć, wyjąwszy twoje.

— I twoje także. Aleś ty wymówił to słowo „nieszczęście“ tak ponuro, tak jakoś dziwnym tonem?

— I miałem do tego powód. Z rodziną Bertossów w Kalwellen, łączą się jakieś osobliwsze okoliczności. Pan Bertossa, przybył tu przed czterema laty; majątek Kalwellen, był wówczas wystawionym na sprzedaż. On go o-

bejrzał, pogadał ze sprzedającym, kupił i zapłacił gotówką co do grosza; musiał być bardzo bogatym. Wszedłszy w posiadanie, zaraz odjechał dla sprowadzenia swojéj rodziny, z którą téż we cztery lub pięć miesięcy powrócił i od téj pory mieszkają w naszéj okolicy.

— Zkądżeż on przybył?

— Tego nikt nie wie, a ludzie różnie gadają.

— Cóż takiego przecie?

— Jedni mówią, że to flamandczyk, drudzy, że włoch i t. p.

— Ale ich papiery, które musieli złożyć w policji, z jakiegoż miejsca są one wydane?

— Tego, jak ci powiadam, nie wiem. Zresztą, papierów można wszędzie dostać.

— Zdaje mi się, jakbyś tym ludziom niedowierzał?

— Hm! ja jestem poborcą i myślę tylko o kontrawencji i defraudacji.

— Ale prócz tego, czy nie masz na nich jakiego podejrzenia?

— Hm! nie... nie!... a jednak!.... Wszystko zależy od tego, jakiemi oczami na co się patrzy.

— Cóż twoje podatkowe oczy widziały? Opowiadajże co o tym człowieku, o jego rodzinie....

— Zaraz. Jeżeli ze mną pojedziesz, będziesz sam mógł patrzeć twojemi kryminalnemi oczyma. Najprzód, mąż, jest to człowiek światowy, lat około sześćdziesięciu, z oczami, które nikomu śmiało w oczy patrzeć nie mogą, same zaś, są w stanie przejrzeć każdego do głębi. Żona, może mieć lat około pięćdziesięciu, musiała być piękną, teraz, cierpiąca, cicha, coś ją przygniata, dręczy, to pewno, że nie gniew.

— Lecz?....

— Ja nie wiem, Bóg, mąż i ona to wiedzą! Daléj, mają oni dwoje dzieci, jednego syna, imieniem Ulryk, chłopca żywego, ognistego i otwartego charakteru; a przecież nie podobał mi się.

— Dla czego?

— Nie wiem sam nawet, nic mu nie mogę zarzucić; może w tém moja własna wina. Drugie dziecko, prześliczna córka, zaledwo lat ośmnastu, a może bardziéj nieszczęśliwa niż matka.

— Dziś obchodzi swój dziewic-wieczór.

— Tak jest, dzisiaj.

— Jakież jéj nieszczęście?

— Jéj dziewic-wieczór!....

— No! gadajże, opowiadaj.

— W ich domu, zostaje już od półtora roku rządca Holm; spokojny, dobry i miły człowiek. On i córka domu, Rozalja, kochają się, a jutro ona wychodzi za mąż za innego.

— Za kogo?

— Bóg to wie! Będzie temu kilka miesięcy, jak w tym domu ujrzałem po raz pierwszy, młodego, nieznajomego człowieka, dumny, pełen pretensji, słowem nieznośny. Był on sobie u nich, jak pan w domu, ale jak taki, którego się wszyscy lękali, nienawidzieli, a którego w żaden sposób nie można było się pozbyć. Jaki był jego stosunek do téj rodziny? Kto on był? Zkąd przybył? Czém się zajmował? Nic zgoła nie mogłem się dowiedzieć i po dziś dzień nie wiem. Przedstawiano mi go, jako barona von Föhrenbach, znajomego z dawnych lat. Późniéj, jakkolwiek z urzędu mego, bywam tam co sześć tygodni, widywawałem go jednak bardzo rzadko; aż tu pewnego dnia, dowiaduję się, że ta śliczna i biedna Rozalja za niego wychodzi i po zawczoraj, odbieram formalne zaprosiny na *dziewic-wieczór*.

— I chcesz żebym z tobą jechał? Przecież nie jestem tam zaproszony, nie znam tam nikogo.

— Cóż to szkodzi; jesteś moim przyjacielem, spotkałem cię przypadkiem na drodze, w nędznéj karczmie, gdzieś mało nie umarł z nudów; na wsi, ludzie są gościnni; a między 50ciu lub 60ciu gośćmi, jeden więcéj, nic nie stanowi.

W istocie, była to prawda.

— Ale cóż ja tam będę robił? spytałem go powtórnie. I jaki stosunek, ma ten dziewic-wieczór do mego zabójstwa?

— Na taki wieczór zapraszają zwykle dużo osób; zjeżdżają się więc ludzie z różnych stron, z różnych warstw społeczeństwa, ludzie ci wiele rzeczy wiedzą i słyszą, co na dziesięć mil od granicy się dzieje. A potém, co za racja szukać mordercy i zabitego koniecznie między przemytnikami.

— Chciałbyś ich gdziendziéj znaleźć?

— W takich razach trzeba szukać wszędzie, lub nigdzie.

Miał rację. Pod każdym względem nie miałem nic do stracenia; ciało miało mi być wydaném dopiero nazajutrz; tymczasem nie mógłbym robić żadnych poszukiwań, a do jutra, miałem dość czasu, aby powrócić. Siadłem więc do jego powozu, sekretarza i egzekutora zostawiłem na miejscu, a żandarmowi kazałem za godzinę czekać na siebie w karczmie, w nadziei, że mogę go potrzebować. Mieliśmy trzy godziny jazdy przed nami, późnym więc wieczorem, między dziewiątą a dziesiątą, przybyliśmy do wsi Kalwellen.

III.

Ogród przylegał do niewielkiego lasku, do którego wjechawszy, ukryliśmy nasz powóz i dostawszy się na piechotę do żywego płotu, widzieliśmy i słyszeli to, com już wyżéj opisał.

Powróciwszy tedy do naszych koni, pojechaliśmy drogą do dworu.

Wszystko tam świadczyło, że to była wła-

sność człowieka, żyjącego w świecie. Służący przyjął nas przed gankiem i zaprowadził do ogrodu, gdzie całe towarzystwo było zebrane; był to raczéj wielki park, w którego oddalonéj części, na przestrzeni otoczonéj kłąbami drzew i oświeconéj lampami, bawili się goście. Lokaj przyprowadził nas do gospodyni domu. Siedziała w gronie innych pań, na tém samém miejscu, na którém ją posadził pan młody, wyprowadzając tak nieludzko z altany. Dobrze widać zważał, aby się nie wymknęła dlà powzięcia wiadomości o synu, którego powrotu wyglądała z utęsknieniem i strachem. Zajęta była rozmową z otaczającemi ją kobietami; wymogła widać na sobie pozorny spokój, lecz smutek, bojaźń i troska, które jéj serce rozdzierały, sprowadziły przerażającą bladość na lica. Powitała poborcę, który następnie przedstawił mnie temi słowy:

— Okręgowy sędzia kryminalny X, dawny mój przyjaciel. Spotkałem go o trzy mile ztąd w nędznéj karczmie i postanowiłem go ztamtąd wyzwolić; upraszam więc, łaskawą panią o pozwolenie, przedstawienia go sobie.

— Witam pana, rzekła głosem dziwnie drżącym, jakgdyby miano moje budziło w niéj większy jeszcze niepokój i cierpienie.

— Wdzięczen jestem nieskończenie łaskawéj pani, odpowiedziałem, za przyjacielskie przyjęcie w grono gości, jakkolwiek nie mogłem się oprzeć despotycznéj woli mego przyjaciela przybywając tutaj, wyznam jednak, że chętnie mu towarzyszyłem na obchód dnia tak wesołego, w domu uprzejmych gospodarzy.

Wymówiłem te słowa gładko, bez najmniejszego zająknienia; słysząc mnie mówiącego tak otwarcie i spokojnie, zdawało się, że uspokojoną została.

— Mocno żałuję, że panowie nie zastali mego męża, któren dziś rano, w pilnym bardzo interesie wyjechał i do téj pory jeszcze nie wraca.

Zauważyłem, że wymawiając te słowa, mocno się zarumieniła i że przytém wpatrywała się we mnie badawczo, nic jednak z mojéj obojętnéj twarzy wyczytać nie mogła.

— Czy mogę prosić łaskawą panię, o pozwolenie złożenia moich życzeń państwu młodym? zapytałem.

Obejrzała się by ich wyszukać; raptem śmiertelna bladość pokryła jéj lica; spojrzałem w tę samą stronę, i dreszcz przebiegł po mojém ciele. Było to straszne jakieś uczucie, lecz oczy nieszczęśliwéj kobiety i moje, spotkały wzrok narzeczonego, któren już tylko na mnie jednego był zwrócony; ale nie był to już ten wzrok palący, ponury i przeszywający.

Pan baron Teobald von Föhrenbach, miał teraz postawę winowajcy. Twarz jego ogromnie zbladła, cała ta postać silnie zbudowana, przygarbiła się do ziemi, a nieruchome oczy, ciągle były we mnie wlepione. Obok niego stał jeden z moich znajomych. Czy ten mu powiedział kto ja jestem i w skutek tego ogarnął go ten strach paniczny? Być może, że sam znał mię dawniéj i teraz tak się przestraszył....

Wszystkie te uwagi, nasunęło mi nieobjaśnione przeczucie. Ale, kto jest ten człowiek? Czy ja go dawniéj kiedy widziałem i w jakich okolicznościach? tego, nie mogłem odgadnąć, błąkając się w przypuszczeniach bez granic.

Gospodyni, ochłonąwszy ze wzruszenia, poprowadziła nas do narzeczonych. Siedzieli obok siebie, panna młoda, skończywszy właśnie taniec, rozmawiała z panienkami.

Tymczasem baron Föhrenbach też oprzytomniał, a widząc, że się zbliżamy, zwrócił się do swéj narzeczonéj, wstał, wziął ją pod rękę i tak czekał na nas.

Na twarzy dziewicy, malował się jeszcze ten sam wyraz cierpienia, jaki dostrzegłem przez krzak leszczyny z za furtki; tylko że wśród grona biesiadników, nabrała więcéj odwagi i uspokoiła się trochę. On zaś, lubo nie wyglądał już tak ponuro i groźno, zdawał się w zamian bardzo zimnym, wyrachowanym i zamyślonym.

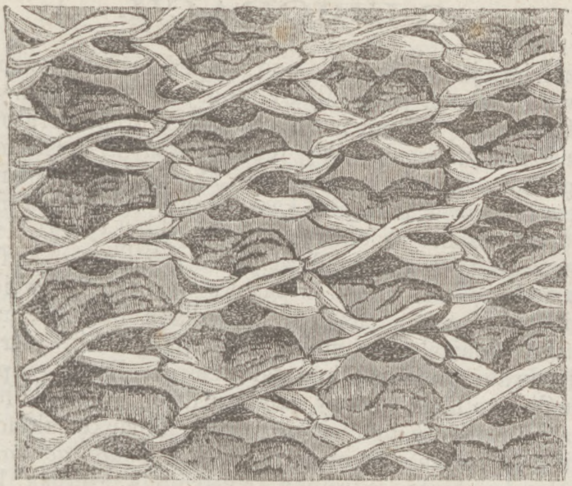
Coż to za kontrast! Ta śliczna, młoda, blada i strapiona dziewica i obok niéj, ten człowiek zimny i bezczelny!...

Pani Bertossa, moje tylko nazwisko wymieniła baronowi, bo znał już dawno poborcę. Gdyśmy nasze życzenie złożyli, podziękował nam zimnym i dumnym ukłonem. Podejrzenie moje, żadną miarą nie chciało mnie opuścić; uważałem, że i gospodyni rzucała niespokojny wzrok ukradkiem, to na mnie, to na człowieka, który nazajutrz miał zostać mężem, jéj jedynéj córki.

Muzyka dała znowu hasło do tańca i on też stanął ze swoją narzeczoną. Nie zwracał już więcéj uwagi na mnie, czy też może tylko udawał obojętność, tém ci bardziéj nie spuszczałem go z oka.

(d. c. n.)

Dodatek do Zeszytu X Kółka Domowego.



Kołderka na drutach.

Kołderka ta robi się na drutach we dwóch kolorach, z włóczki we dwóch gatunkach, ta co stanowi tło powinna być gruba o 10 nitkach, zwierzchnia zaś biała na siateczkę, o 5 nitkach. Nabierz oczek ile ci potrzeba na zamierzoną wielkość kołderki, potem rób:

1 rzęd. Grubą włóczką kolorową, oczka zwyczajne.

2 rzęd. Weź teraz białą cienką, piérwsze oczka zawsze się zdejmuje bez przerabiania, żeby brzegi były równe, zarzuć na drut dwa razy włóczkę, weź dwa oczka razem, przerób ale na odwrót, to jest dróżką; zarzuć na drut dwa razy włóczkę, weź dwa oczka razem, przerób na odwrót i tak daléj aż do końca.

3 rzęd. Weź włóczkę grubą, przerób wszystkie oczka zwyczajnym sposobem zdejmując zarzucone bez przerabiania.

4 rzęd. Tą samą jeszcze włóczką przerób wszystkie oczka ale na odwrót, zdejmuj zarzucone bez przerabiania.

5 rzęd. Przerób jeszcze wszystkie oczka zwyczajnym sposobem, zdejmując zarzucone bez przerabiania.

6 rzęd. Weź białą włóczkę, przerób zwyczajnym sposobem biorąc dwa oczka razem, to jest białe zarzucone i grube kolorowe, zarzuć na drut dwa razy włóczkę, przerób dwa razem oczka, zarzuć, przerób i masz już cały deseń, powtórz rzęd 3 potem 4 i tak daléj aż do końca.

Ścieg dywanowy na grubéj kanwie.

Ścieg ten robi się grubą włóczką berlińską, biorąc ukośnie jak zwykle na półkrzyżyki, dwie nitki wszerz, zaś sześć nitek wzdłuż. Drugi ścieg zwyczajny jak do pół krzyżyka i wzdłuż i wszerz, znów długi o 6 nitkach i mały o 2 przez całą szerokość kanwy. Na powrót wracając pokrywa się tym sposobem pół krzyżyki, że na długim kładzie się mały, a na małym długi ścieg.

O UBIORACH.

Powtarzaliśmy już nieraz, jak pod względem artystycznego prawdziwie smaku i wykończenia, pochwalamy ubiory wychodzące z magazynu pani Adeli Hoffmanowéj. Chcąc przeto wskazać prenumeratorkom naszym nowości obecnéj mody, zwiedziliśmy tenże magazyn i opisujemy wykwintne stroje, według których można zastosować skromniejsze ubiory. Podobały nam się bardzo kolorowe kaftaniki kaszmirowe, lub jedwabne, do białych muślinowych spódniczek. W obecnéj letniéj porze, służą one do strojnego ubrania, zarówno na zebrania obiadowe, jak na wieczorne. Kaftanik taki dla młodéj przeznaczony osoby, był z pąsowego kaszmiru, wcięty do stanu z długą baskiną przepasaną paskiem. Z przodu otwarty, miał przyszytą białą kaszmirową kamizeleczkę, spiętą na białe guziki; wystrój miał z plecionki czarnéj jedwabnéj mieszanéj ze stalowemi perełkami. Spódniczka szeroka, biała, muślinowa, cięta w kliny, miała u dołu na ćwierć łokcia szerokie muślinowe garnirowanie *à la vieille*, to jest falbankę układaną w grube fałdy. Drugi taki kaftan dla mężatki, był z *poult de soie bleu mexique* z kamizeleczką białą jedwabną, wystrojony szeroką koronką *point de Bruxelle*, po nad którą szło garnirowanie ze wstążki białéj gazowéj, przewleczonéj błękitną aksamitką. Nadmienić tu musiemy iż garnirunki do sukien robionych u pani Adeli, są zawsze oryginalnie ładne i nigdzie indziéj nie napotykane, układa je bowiem zawsze sama, według własnego pomysłu mieszając wstążki, aksamitki. czy koronki, czy wreszcie pasmanterje. Pani Adela jest artystką w swoim rodzaju, pomysły jéj przeto pełne wykwintnego smaku, są zawsze niewyczerpane. Na dowód tego przytaczamy, iż zdarzyło się jednego razu dawniéjszemi czasy, że miała poruczoną sobie robotę stu kilku sukien, w przeciągu jednego tygodnia. Wszystkie miały być z wybranego przez nią materjału, a każda z odmiennym wystrojem, gdyż przeznaczone były dla osób spotykających się w jednych salonach. Ówczesne opowiadania świadczą, że wyszła zwycięzko z tego niepospolicie trudnego zadania.

Ale wróćmy do sprawozdania naszego. Spódnica, biała muślinowa do niebieskiego kaftanika, była także ubraną u dołu niebieską wstążką. Dla młodych osób tylko robią gładkie białe spódnice, dla mężatek zaś wystrój ich odpowiadać powinien kolorowi kaftanika. Kaftaniki takie ściskają się zawsze w stanie stosownym paskiem. Paski robione u pani Adeli mają po parę wszywek od dołu do połowy, ponieważ figura zwykle u góry się poszerza, leżą przeto zupełnie gładko i nie załamują się wcale. Suknie z białéj alpagi są także używane bardzo, zarówno na strojne obiady i wieczory, jak na eleganckie spacery. Oglądałyśmy dwie podobne. Jedna miała rękawy i stanik ubrany pąsową aksamitką, u dołu spódnicy gruby sznur pąsowy z białém i pasek pąsowy *gros grins*, spinający się z przodu na haftki, które przysłaniały dwa na pół łokcia długie, węższe nieco od paska końce, założone u góry za pasek i spadając prosto w miejscu klamry; na każdym końcu u góry przyszyte były trzy pąsowe guziczki z pasmanterji, jeden koniec był nieco krótszy od drugiego, oba zaś zakończone w ząb szpiczasty. Druga suknia alpagowa biała, miała sznur u dołu koloru słomy skręconéj z czarném i wystrój stanika i rękawów ze wstążeczki z gazy słomianéj, w rzut czarny atłasowy. Gaza taka w istocie ze słomy wyrobiona, używa się teraz bardzo do wielu strojów, jest dość gruba i sztywna. Podobała nam się pomiędzy innemi jedwabnemi sukniami, suknia koloru blado perłowego *clair de lune*, ubrana koronką Cluny, przewlekaną czarną aksamitką. Mówiła nam pani Adela że z kapeluszy okrągłych otwartych, tak uporczywie noszonych w Warszawie, mimo że w Paryżu, stolicy mody, kupują je jedynie

na wieś, lub do wód na spacery, wszystkie kołpaki, garibaldki, kaszkiety i tym podobne dziwadła, stanowczo są odrzucone przez osoby prawdziwie eleganckie, które przyjęły jedynie (zawsze tylko na spacery) kapelusze pasterskie z dużém rondem, ochraniającém od słońca. Śliczne okrągłe małe kapelusiki zwane *chińskie*, które oglądałyśmy u pani Adeli, są przeznaczone dla panienek najwyżéj czternastoletnich. Jeden z takich kapelusików był przepasany cały dwa razy przez wierzch ronda i główki czarną aksamitką, ktoréj końce wiązały się z tyłu pod kokiem z włosów, z przodu na wierzchu rondka objętego także czarnym aksamitem, miał w jednym, rzędzie pięć białych dużych stokroci. Oglądałyśmy także fantazyjny kapelusz *à la Marie Stuart*. Był z białéj krepy, rondko miał w kształcie spadającego na czoło dużego zęba, podpięte z boku białym kwiatem akacji, od tego zęba spadało płasko, na zupełnie nie sztywną przezroczystą główkę, białe strusie pióro. Cały kapelusik raczéj na strojny czepeczek wyglądał, to téż fason ten niepowinien być noszony na ulicy,lecz jedynie na strojne wizyty oddawane powozem, koncerta lub teatr. Inne śliczne kapelusze fasonu Pamela, lub zwyczajnego, które oglądałyśmy, były następujące: Kapelusz z białéj illuzji zdobny u podpięcia i na wierzchu białemi kwiatami azalji, szarfy białe. Kapelusz *bleu mexique* z *poult de soie* i takież szarfy, ubrany z wierzchu pomponikami ze słomy i podpięty bukieciki em słomianym. Kapelusz z gazy słomianéj, takież szarfy, podpięcie i wierzch ubrany białemi fijołkami, fuksją ze słomy, oraz podwójnym sznurem białych kryształowych paciorków. Kapelusz z białego *poult de soie* przerabianego ze słomą, takież szarfy, ubranie z białych fijołków i konwalji, zwieszających się w kształcie podwójnego sznura. Kapelusz z białéj illuzji mieszanéj z gazą *marabout* (gaza ta naśladuje pióra téj nazwy) szarfy białe z *poult de soie*, ubranie z wierzchu i u spodu gałązkami bzu białego bez liści, Kapelusz z gazy *marabout* popielatéj, popielate jedwabne szarfy, ubranie z gałązek bzu lila. Kapelusz czarny włosiany, szarfy czarne haftowane w białe stokrocie, ubranie z takichże stokroci. Wszystkie te kapelusze kosztowały 12 do 15 rubli. Na głowę obok innych modne są bardzo maleńkie, prawdziwie jak dla lalek katalanki zdobne z boku jednym kolorowym kwiatem.

Zęby szydełkowe.

Zrób najpierw łańcuszek długości według upodobania, a na nim 2 rzędy drabinki potém zaś jak następuje.

1 rzęd. 7 oczek matowych małych, 4 łańcnszkowe, na poprzednim rzędzie opuść oczek trzy i na czwartym zrób 3 słupki raz jeden okręciwszy nitkę na szydełko, i znów 4 łańcuszkowe przyrób do czwartego, i zrób małych matowych oczek 15 potém łańcuszek o czterech oczkach, 3 słupki w czwartym oczku poprzedniego rzędu, i znów łańcuszek o 4 oczkach przyrób do czwartego. i zrób 15 oczek matowych.

2 rzęd. Pięć oczek matowych 3 łańcuszkowe, 3 trzy słupki na pierwszym słupku poprzedniego rzędu 1 łańcuszkowe, 3 słupki na trzecim słupku, 3 łańcuszkowe, opuść dwa matowe a na trzecim przyczep, i zrób 11 matowych oczek, potém 3 łańcuszkowe, 3 słupki, 1 łańcuszkowe, 3 słupki, 3 łańcuszkowe 11 małych matowych powtórz.

3 rzęd Trzy matowe, 3 łańcuszkowe, 3 słupki na trzech poprzednich, 2 łańcuszkowe, 3 słupki na jednym środkowym łańcuszkowym, 2 łańcuszkowe, 3 słupki na trzech poprzednich, 3 łańcuszkowe; 7 małych matowych 3 łańcuszkowych, 3 słupki, 2 łańcuszkowe, 3 słupki, 2 łańcuszkowe, 3 słupki, 3 łańcuszkowe, 7 małych matowych powtórz.

4 rzęd. 3 łańcuszkowe, 3 słupki na trzech poprzednich, 3 łańcuszkowe, 3 słupki na pierwszym słupku, 5 łańcuszkowych, 3 słupki na trzecim słupku 2 łańcuszkowe, 3 słupki na trzech poprzednich, 3 łańcuszkowe przyczep do środkowego matowego, 3 łańcuszkowe i tak daléj.

5 rzęd. 1 słupek na pierwszym z trzech poprzednich, 1 łańcuszkowe, 1 słupek na drugim słupku, 3 łańcuszkowe, 3 słupki na trzech poprzednich, 3 łańcuszkowe, 3 słupki na środkowym oczku zpięciu łańcuszkowych poprzednich, 3 łańcuszkowe, 3 słupki na trzech poprzednich, 3 łańcuszkowe, 1 słupek na pierwszym poprzednim, 1 łańcuszkowe, 1 słupek na trzecim poprzednim 2 łańcuszkowe powtórz.

6 rzęd. 1 słupek na drugim pojedynczym słupku poprzednim, 3 łańcuszkowe 3 słupki na trzech poprzednich, 3 łańcuszkowe, 3 słupki na pierwszym poprzednim słupku 1 łańcuszkowe, 3 słupki, na trzecim poprzednim, 3 łańcuszkowe, 3 słupki na trzech poprzednich, 3 łańcuszkowe, 1 słupek na pierwszym pojedynczym słupku, 1 łańcuszkowe, 1 słupek na trzecim pojedynczym słupku, 3 łańcuszkowe, 3 słupki na trzech poprzednich powtórz.

7 rzęd. 3 słupki na trzech poprzednich, 3 łańcuszkowe, 3 słupki na trzech poprzednich, 3 łańcuszkowe, 3 słupki na jednym środkowym łańcuszkowym, 3 łańcuszkowe, 3 słupki na trzech poprzednich, 3 łańcuszkowe, 3 słupki na trzech poprzednich 1 łańcuszkowe, 1 słupek na jednym łańcuszkowym, 1 łańcuszkowe, 3 słupki na trzech poprzednich, 3 łańcuszkowe, 3 słupki na trzech poprzednich, powtórz.

8 rzęd. 3 słupki na trzech poprzednich, 4 łańcuszkowe, 3 słupki na trzech, 4 łańcuszkowe; 3 słupki na trzech, 4 łańcuszkowe, 3 słupki na trzech, 4 łańcuszkowe 3 słupki na trzech, 1 słupek na jednym poprzednim, 3 słupki na trzech poprzednich, 4 łańcuszkowe, powtórz.

9 rzęd i ostatni. 7 słupków na czterooczkowym łańcuszku, jedno oczko matowe na środkowym z trzech poprzednich, 7 słupków na następnym łańcuszku, jedno matowe na trzech, powtórz.

O PIELĘGNOWANIU SZPARAGÓW.

Szparagi należą do smakowitych wiosennych jarzyn; w użyciu są one nietylko przyjemne ale i zdrowe, z tych powodów zasługują na staranne pielęgnowanie, a jeżeli kto chce mieć je z dobrem powodzeniem, powinien się zastosować do warunków jakich wymagają.

Mając dobre i z dobrych gatunków nasienie szparagowe, zasiać w jesieni na zagonie z dobréj ziemi, dobrze przekopanym, w rowki na cal głębokie, odległe od siebie najmniéj na pół łokcia, aby późniéj kopiąc flance, nie tyle się uszkadzały. Gdy nastąpią mrozy zagon przykryć na pięć cali starym gnojem, na wiosnę gnój odrzucić, a gdy zejdą zagęsto przerwać aby flanc od flanca rosł o kilka cali; można zasiewać i na wiosnę, szczególniéj gdzie położenie na zasiew zimowy nie pozwala.

Gdy już wychowamy flance dwuletnie lub trzyletnie, należy przygotować zagony, na które mają być przesadzone. Zakładać szparagi najlepiéj jest na wiosnę; na wiosnę nawet jeżeli ziemia mokra, nie można przesadzać i dlatego lepiéj jest wcześniéj przygotować zagony, a zasadzać w Maju. Kopią się w miejscu wystawioném na operacją, nie zbyt wyniosłém, ale także nie zbyt mokrém, rowy długie podług woli, szerokie dwa łokcie lub więcéj a głębokie na łokieć blizko; ziemię z nich wyrzucić na boki, jeżeli jest dobra i tłusta, może być użyta do okrycia szparagów, jeżeli zaś chuda należy przygotować zdatnéj przesianéj. Wykopany rów dobrze jest usypać gruzem, aby krety ryć nie mogły; na tym ułożyć pół łokcia gnoju starego bydlęcego, trochę liści, trocin lub pruchnicy wiórzyskowéj, wszystko to dobrze aby przegniło; późniéj to udeptać i nasypać dobréj ziemi na trzy cale;

zrobić dwie linie wzdłuż zagonu, odległości więcéj łokcia; na tychże w odległości takiéj saméj, przeciwnie sobie, utkwić paliki czyli kołki; przy każdym kołku zrobić górkę, na ktoréj osadza się jedna flanca silna i piękna, tak, aby wierzch jéj czyli korona, do góry wyglądała, a korzenie porządnie rozłożyć i obsypać ziemią. Gdy tak wszystkie flance zostaną zasadzone i należycie ziemią dobrą, przesianą okryte, rów zasypać aż do wierzchu, tak wysoko, ażeby w pierszym roku rośliny miały nad sobą ziemi cali sześć.

W jesieni, nim mrozy nastąpią, wyrosłe łodygi uciąć na trzy cale nad ziemią i zagony nakryć gnojem: na wiosnę gnój grubszy zebrać, a drobny przekopać ostrożnie z ziemią, aby nie kaleczyć korzeni i na to dosypać swieżéj ziemi jeszcze na sześć cali, aby w ogóle miały nad sobą cali dwanaście. Latem zagony czysto utrzymywać, a jeżeli można w potrzebie polewać; następnéj jesieni znowu łodygi przyciąć i przykryć gnojem, na wiosnę grubszy zebrać a drobny z ziemią przekopać; a że pospolicie ziemia na kilka cali opadnie. téj więc wiosny jeszcze ziemi dosypać przynajmniéj na trzy cale: w trzeciéj jesieni jak również i na wiosnę, tak postąpić jak się wyżéj powiedziało; zawsze jednak przekopywać ostrożnie, aby nie dotykać korzeni; w lecie czysto utrzymać i w susze polewać. W tém lecie, to jest trzeciem po przesadzeniu już piękne szparagi rość powinny; ktoby jednak chciał mieć szparagi większe i dłużéj z nich korzystać, jeszcze nie powinien zrzynać na użycie, a cierpliwość jego będzie nagrodzoną; w jesieni i na wiosnę również postąpić, jak w latach przeszłych, a dopiéro już będzie można zrzynać do użycia. Nie należy jednak wszystkich zbierać owoców, i dla tego pierwsze, wychodzące z wiosny szparagi zostawić, póżniejsze już można wycinać: kto zaś wszystkie co rok pokazujące się szparagi wycina, jako też dłużéj jak do Czerwca, nie długo będzie się cieszył korzyścią.

Pielęgnowanie w następnych latach, jest takie same jak i w przeszłych, to jest aby na jesień gnojem nakrywać, a na wiosnę część jego wkopać, ponieważ szparagi zasadzają się odlegle, a ziemia jest dobrą; można między niemi zasadzać sałatę lub inne ogrodowiny, takie które prędko użyte być mogą; jeżeli by ziemia podwyższona na zagonie obsypywała się, dobrze jest obłożyć deskami. Chcesz mieć szparagi w zimie? w tym celu zakładaj zagony szerokie tylko na łokieć, przedzielone ścieżkami szerokiemi także na łokieć. W Styczniu lub Lutym, gdy już szparagi są w czwartym roku po zasadzeniu, kopią się w ścieżkach rowy głębokie na łokieć; te rowy napełniają się świeżym słomiastym końskim gnojem, dobrze udeptanym; w tym samym czasie, nakryć zagony gnojem drobnym, suchym, na pięć cali, a na to rozciągnąć słomę lub maty; we dwadzieścia dni po zagrzaniu się gnoju, zaczynają pokazywać się szparagi. Co dni pietnaście, gnój w rowach trzeba zmieniać lub téż ze świeżym mięszać, a okrycie zagonu pomnażać w miarę zimna. Zbierać powinno się w porze dnia najłagodniejszéj; co można uskuteczniać co trzy dni ,a po zupełnym zbiorze, zostawić zagon tak forsowany przez lat dwa w zupełnym spoczynku, aby rośliny nowych sił nabrały.

Ogólne warunki, do wychowania pięknych szparagów są następujące.

1. Dobra, tłusta, wyrobiona ziemia, w ciepłém położeniu. 2. Flance mają być rzadko sadzone. 3. Powinny mieć nad sobą najmniéj dwanaście cali, najwięcéj ośmnaście ziemi. 4. Co rok w jesieni gnojone na pół łokcia, z którego na wiosnę, część drobnego gnoju ma być wkopywana między karpami szparagowemi. 5. Naostatek nie należy dłużéj zrzynać jak do Czerwca.

PRZEPISY GOSPODARSKIE.

Śmietanka gorzka.

Trzeba z samego środka wziąść śmietanę młodą, ogrzać wolno i potém niech stoi przez 24 godzin, wybierać znowu sam sér łyżką i w worek kłaść, trzymając go nad czystą miską, związać go potém i obwinąć w serwetę; tenże worek prasą lekko przyłożyć, dopóki ciec nie przestanie, bo gdy przestanie, to trzeba ciężéj przyłożyć, a jak już nic a nic nie będzie ciekło to wyjąć na suchą nieckę i do kwarty tego sera włożyć łyżkę gorczycy dobrze w moździerzu utłuczonéj, przesianéj przez sito; soli trzeba wsypać do smaku. Ser ten ma cały dzień w prasie leżyć. Chcąc aby się udał, trzeba bardzo uważać ogrzewając śmietanę, żeby nadto nie przygrzać ani téż nadto mało.

Zielone masło.

Trzeba ogrzać garnek z mlekiem nie zbierając śmietany i zrobić ser miękí, czyli raczéj serwatkę tylko wycisnąć, miéć tego jedną część a drugą masła niesłonego. Wziąść rzerzuchy naci, szczypiorku z trybulki, drobno pokrajać, osolić, uwiercić w donicy i póty trzéć, aż się massa zrobi; włożyć potém w ser i znowu ucierać, a na końcu już z masłem dobrze trzéć i mieszać, aby zieloność wszystko przeszła.

Ser zielony.

Sera chudego bardzo suchego funtów 8 utrzeć na tarce, lub utłuc w moździerzu, wsypać do donicy albo niecki, dodać pół garnca soku z świeżo wycisnionych liści chrzanowych, proszku miałko utłuczonego *Foenum grecum* łut jeden i pół, śmietany kwartę, wymieszać to wszystko razem, niech postoi dni 8, w lekkiem cieple, co dzień mieszać o jednéj porze, potém w worek nakłaść i pod prassę włożyć, aby wilgoć ściekła, na koniec z workiem powiesić aby ser wysechł.

Ser zwany Fromage de Brie

Bierze się sér suszony, moczy się w mleku, póty niech moknie aż zmięknieje, potém się łyżką rozciera, jak się dobrze rozetrze to się reszta sera wyjmie, moczy się i rozetrze w małym garnuszku mleka i znowu się rozciera w donicy; weźmie się do trzech kwart mléka słodkiego jedną kwarte gęstéj śmietany, to wszystko się osoli dobrze i potém zmiesza się z tém mlekiem w którem się ser rozcierał i mokł, niechaj póty stoi póki się nie zsiądzie; w parę godzin się zsiądzie; potém postawić w ciepłem miejscu, tylko przykryć żeby się nie nakurzyło, lecz nie do ognia przystawić, gdy się dobrze ogrzeje, wlać to wszystko w serwetę i powiesić również na ciepłem miejscu Gdy serwatka dobrze ocieknie i ser trochę ztwardnieje, wyjąć go z serwety położyć na przetak żeby dosechł, jak już dobrze doschnie, obmyć go w piwie z solą, w garnek włożyć i zawsze przykrywać aby muchy nie doszły, bo by się robaki zalęgły, trzeba często zaglądać do niego, bo jeśliby się zalęgły to posypać w tém miejscu solą a zaraz robaczki wyginą i wtedy nożem je wybrać. Ten ser gdy dobry to powinien rok i dłużéj być a nie zepsuje się.

Ocet fijałkowy.

Weź fijałków granatowych, namocz je w occie winnym, postaw na słońcu, niech się wyklaruje, przecedź potém w butelki i chowaj.

Kurczęta w pudełkach.

Gotuj ich z pietruszką, trybulką, cebulką, kawałkiem czosnku, trochą oliwy i pieprzu; zrób pudełka jak na biszkopty, podług wielkości kurcząt, włóż w nie kurczęta z całkowitą przyprawą, przykryj kawałeczkiem słoniny i papierem; smaż na ruszcie wolnym pod pokrywą, jak się usmażą, zdejm słoninę, i włoszczyznę, jeżeli chcesz daj kurczęta w pudełkach na półmisek dodawszy cytryny, lub sos ciemny kwaskowaty osobno.

Róża smażona.

Brać pączki z róży jak najczerwieńsze, obskubać żółte koniuszczki; do funta róży dwa funty cukru, sparzyć różę gorącą wodą w wazie, straci ona kolor ale go nabiera późniéj; cukier porąbać w kawałki, nalać w rynkę wody tyle żeby się tylko róża zamaczała, gdy się zacznie gotować po kawałku cukru wrzucać do rynki, aż wszystek wyjdzie i tak smażyć żeby dużo syropu nie było, szumowiny troche zbierać i gdy będzie miała dosyć, to jest jak skórka się będzie robić na syropie gdy go się ostudzi na łyżce, odstawić, jak ostygnie wycisnąć całą cytrynę i w słoiki złożyć.

Esencja piołunowa.

Uzbierać piołunu w Maju, nakłaść w butelkę ciasno i spirytusem nalać, włożyć tę butelkę w ziemią na dni 9 gdzie najwięcéj słońce operuje.

Zaprawa mleczka cielęcego.

Weź żołądek od cielęcia, które przed zabiciem ssało u krowy, a tam znajdziesz mléko w sérek obrócone, ten żołądek włóż w świeżą wodę i póty go płucz aż wszystka nieczystość i ślizgość zejdzie. Zetrzéj potém mleczko z solą zmięszane, na masło, sam żołądek trzeba téż natrzéć solą i powiesić żeby usechł, mleczko pokłaść na sicie żeby schło na słońcu; trzeba go przewracać kilka razy. Gdy uschnie, i żołądek i mleczko schować. Pierwszy krajać po kawałeczku i moczyć w gorącéj wodzie wraz z którą potém wlewać w mleko, drugie rozcierać po trochu w mleku aby się zsiadło.

Legominy z mléka.

Weź kwartę mléka które prosto wydoją od krowy, przydaj cokolwiek zachowanego mleczka cielęcego, które trzeba na misce z parą łyżkami zimnego mleka rozetrzéć, drugą kwartę mléka przystawić do ognia aby było tak letnie jak od krowy przychodzi, potém zmieszać z tamtem prędko mięszając i przez chustę przecedzić w naczynie, a tak wkrótce się zetnie. Potém trzeba wyłożyć na przetak, albo na płótno, aby ściekło, nakoniec włoży się do formy lub téż kraje się w czworograniaste kawałki na półmisku; przydawszy słodkiéj śmietanki do tego; postawić na zimnie aż do czasu jedzenia, można cokolwiek cukrem tłuczonym posypać.

Serwatkę która ściekła z sera schować potrzeba, gdy się skwasi wziąść kwartę gęstego mléka w garnek lub rądel wybielony, nalać i zagotować, a gdy się zagotuje wlać cokolwiek téj serwatki i tak długo powtarzać aż się owe

mleko ze wszystkiem zetnie; gdy się serwatka klarowna pokazuje, a w rądlu znać że się dobrze ściękło to potém wyla éna przetak, niech serwatka zcieka ser zaś kłaść na półmisek, zowie się to romańskie mleczko. Jeśli chcesz mediolańskiego mleczka, wléj w miskę słodką śmietanę, a włóż łyżką małe kawałki romańskiego mleczka i daj ostygnąć w lodzie przed jedzeniem.

Mleczko słodkie.

Wziąść mleczka z cielęcia, nastrugać w proporcję, opłukać go i namoczyć w wodzie, nalawszy tyle aby się mogło zamaczać, a potém rozetrzéć dobrze; wziąść mleka ciepłego prosto od krowy, zamięszać to wszystko kilka razy i przecedzić na salaterkę, postawić w cieple i nakryć czem; a gdy się zsiądzie wstawić do lodu, posypać cukrem, cynamonem i wodą różanną podlać przed podaniem na stół.

Kwiat bzowy.

Weź kwiatu bzowego osusz trochę na słońcu, poobieraj z korzonków, ugotuj w wodzie; ugotowawszy osącz wodę przez sito, miód dobrze z wosku wysmaż i wyszumuj, dopóki klarowny nie będzie, kwiaty wrzuć w ten syrop; ugotuj, skórkę pomarańczową posiekaj i razem smaż aż do miękkości.

Sposób zachowania na długi czas cytryn świeżych.

Na wsi nie zawsze mieć można cytryny świeże, podajemy tu więc sposób przechowywania ich.

Każda cytryna powinna być obwinięta w bibułę lub inny papier; też cytryny poukładać warsztwami w szklanny słój, korzonkami do góry jak na drzewie rosną, gdy to uczynisz, postaw tenże słój na spokojném i suchém miejscu, gdzie stęchlizny nie masz, przykryj talerzem cynowym, wodą napełnionym, ta woda powinna być co dzień odmieniana i zawsze czysta; cytryny przynajmniéj raz w tydzień serwetą obcierać, aby były suche; papier od nich suszony powinien być, lub inny dany, tym sposobem długo się świeże utrzymują bez zepsucia.

Kasza różanna.

Wziąść róży świeżéj, usiekać najdrobniéj, do tego wziąść trzecią część mąki pszennéj, z téj trochę zostawiwszy na późniejszy użytek, z resztą zagnieść różę usiekaną, potem tę zagniecioną massę powtórnie siekać, pozostałą mąkę od trzeciéj części przysypywać, a różanną wodą skrapiać; można dodać białek z jaj. Potem to wszystko przetrzéć przez durszlak, i w ciepłéj izbie ususzyć. Taka kasza najlepsza gotowana w mleku i posypana cukrem.

Jajecznica z nerkami cielęcemi.

Posiekawszy drobniuchno kilka młodych cebulek i nerek cielęcych, smaży się ta siekanka w maśle rozpuszczoném. Wymieszawszy ją kilka razy, aby się nie przypaliła, wbij do garnka piętnaście jaj, naléj na nie sosu z pieczeni cielęcéj lub wołowéj, roztrzep motewką i wléj do nerek cielęcych. Przysmaża się potém wszystko razem, poczem się zaraz na stół daje.



KÓŁKO DOMOWE.

Czerwiec 1866.